

ANTONINA DOMAŃSKA

KRYSLA BEZIMIENNA

ROZDZIAŁ I

List królowny Anny Jagiellonki do pani Niewiarowskiej:

Urodzona, wdzięcznie nam miła! Zdrowie Waszej Miłości nawiedzamy*, którego WM od Boga wiernie mieć życzymy na czasy długie. Moja najmilsza pani Niewiarowska! Tak, jak WM wyrozumieć raczyłaś z listu Kasieczki mojej, która pisała z rozkazania mego do WM, tedy racz wiedzieć, iż to woła moja, abyś WM tą panienką miała przy sobie z kilka niedziel, a wyrozumiała, jeśliby była godna ku służbom moim, do chowania rzeczy i do pokoju mego. Ukazowała mi Kasia list, który miała od paniej* Zborowskiej: posyłam go WM, wszystko wyrozumiesz z niego. Prosimy, byś nam WM odpisać raczyła. Za czym Bogu Waszą Miłość poruczamy. Panie Boże, daj WM wszystko dobre.

Dań w Ujazdowie 7 Iunii* 1572

Anna
z Bożej łaski królowna polska

Odpowiedź pani Niewiarowskiej:

Najmiłościwsza Królowno, Pani a Pani moja dobrotliwa! Korne dzięki uniżenie składam za one słowa tak zbytnio łaskawe ku niegodnej osobie mojej zwrócone. Zawszy ochotnie bieże, kędy jest okazja do przysługi Jej. Tak samo też, odczytawszy pisany do mnie w maju miesiącu list Kasieńki, należenia przystojnych obyczajów panny, ku Waszej Królewskiej Miłości usłudze żądający, zaraz się wedle tego zakrzętnęłam. Jak mi to W. Kr. M. raczyła zalecić, trzy niedziele już chowam w domu. moim panienką, raczej dziewczuszką, którą skwapliwie ośmielam się raić. Jest to córka sołtysa ze Szłuzewa, majątności pana kasztelana plockiego. Jej wielmożność pani kasztelanowa wzięła siedmioletnią na swój dwór i tam przykazała chować pod okiem doświadczonych służebnych, robótek białogłowskich uczyć, do posługi zaprawiać, nawet czytanie a pisanie bakalarz* dzieci pańskich z własnej woli dziewczynie pokazywał. Marysia Krupska (tak się dziewczeczka zowie) przebyła drugie lat siedem na kasztelańskim dworze, lecz dla śmiertelnej niemocy matki musiała wracać do domu. Niebawem pomarła sołtysowa, lecz ojciec przetrzymywał córką z dnia na dzień, nie chcąc sam pozostać w swej żałości. Niemal o tymże czasie i na tą samą chorobę zmarła nieznaną podróżna, którą sołtys przyjął z córeczką litościwym sercem. Dziecko niesamowite jakieś, płochliwe, po zgonie matki kryło się po kątach jak myszka. Ino Marysinej spódnicy rade się czepiało i wszędy za nią biegalo. Widząc, że się, jej powrót do Płocka odwleka, napisała Marysia list do pani kasztelanowej, prosząc pokornie o zwolnienie ze służby, które otrzymawszy pozostała przy rodzicu. Sołtys atoli ożenił się po raz drugi. Marysia, nie śmiejąc przykrzyć się pani kasztelanowej o powtórne jej w swój dom przyjadę, u proboszcza szukała rady. Do tejże', parafii jak na szczęście i moja wioska należy, a pleban wiedział ode mnie, iże pilno poszukują służebnej i nie byle czego nie potrza. Jednym słowem, jako nadmieniał wyżej, Marysia Krupska jest u mnie już czwarty tydzień i bez nijakiej obawy żarliwie ją Miłościwej Królownie a Paniej mojej zalecam.

Dalszych rozkazań oczekując piszą się W. Kr. M. wierną, acz niegodną służką.

Marcyjanna Niewiarowska

* Nawiedzać zdrowie — dowiadywać się o zdrowie.

* Od paniej — od pani, II przyp. dawnej deklinacji rodz. żeńskiego.

* *Iunius* (łac.) — czerwiec

* *Bakalarz* — nauczyciel.

PS. A że to staremu co najważniejsze najrychlej z głowy wietrzeje, tedy i ja dopiero przed samym wysianiem pisma, wspominam szczegół, który moje najlepsze chęci łącno gotów obrócić wniwecz. Taka bowiem jest niedogodność, że Marysię Krupską ino samowtór mieć można, czyli spolem z siedmioletnią Krysią niebogą. Próbowałam ja wszelkimi sposoby usunąć dziecko ale wszystko na darmo; na krok swej opiekunki nie odstępuję. A gdy je siłą rozdzielono, dziecina aż się zapamiętała: strach był niezmierny, niczemeśmy ją docucili. Raczy tedy Miłościwa Królowna wolą swoją pacholikowi memu objawić, tak czy owak. której posłusznie się akomodować* pośpieszą.*

Przeczytawszy list, Anna Jagiellonka złożyła gruby, szary papier we czworo i zmarszczyła brwi w zamyśleniu, niepewna, czy się zgodzić, czy odmówić.

Chylące się ku zachodowi słońce wpadało do komnaty dwoma oknami; przy tych oknach ustawione długie krosna oparte na kozłach, a u krosien cztery panny dworskie wyszywały atlasowy obrus do kościoła złotem i perłami. Ulubienica królowy Anny, Kachna Leszczyńska, najstarsza z dziewcząt, haftowała pilnie, oczu nie podnosząc od roboty. Trzy młodsze skupiły ciasno głowy i szeptały:

— Pójrzyj ino, Baśka, jak to jej miłość usta zacisnęła... jeszcze więcej niż zawždy — mruknęła Jagna Kłodzińska. — Głowę skłania raz na prawo, raz na lewo, coś jej widno nie do smaku w tym piśmie.

— A palcami przebiera po stole... widzicie? — dorzuciła Baśka Szczepiecka, naśladowując ruch ręki królowy. — O... jak jej to sprawnie biegają one cienkie, suche patyczki! — I zakrzuszyła się tłumionym śmiechem.

— Pewnikiem otrzymała zapowieść od jakiego zamorskiego króla, jako niebawem dziewosłębów* przyśle — szepnęła jej Jagna w samo ucho.

— Aha, nie co inszego to musi być — przygryzając wargi odparła Baśka. — A jej miłość się sroma, sama nie wie, co począc; nie dziwota: wszak ci młoda jak jagoda, jeszcze jej nie pora.

Aa... bo czemu to królowna miłościwa nas się nie zaradzi! — strojąc przemądrzałą minkę dorzuciła Ewunia Reyówna.

Panna Leszczyńska podniosła głowę od krosien i zmierzyła swe towarzyszki surowym wzrokiem.

— Za długo ręce próżnują, raczej byście dały spocząc językom — rzekła z gniewem. — Rozumiecie może, com jest ślepa albo głucha? A ja od chwili już daję pozór na was. Żadna igły nie wbija w robotę, a pogwarka... wstydno mi, żem słyszała.

— Zali fraucymer* miłościwej królowy to jasyr* tatarski? — zuchwale odburknęła Baśka. — Ino szyj a szyj; wszak ci każdemu wolno poweselić się krzyne.

— Połowicę dnia macie na weselenie; służba u naszej pani cale nie ciężka. A za łaskawość niezmierną, dobrotliwe serce jej miłości czym płacicie? Powtarzam, wstydno mi za was.

— Pożyczyłaś szalki u pana medyka Czeszera, co tak ważysz każde słówko? — głośniejszą trochę odcięła Jagna. — Spróbuj położyć na jednej swoje latka, a na drugiej którejkolwiek z nas, wielebna przeoryszo. Mniemasz, co nie wiemy, iześ stara jak Matuzal*? Dwadzieścia i dwa minęło ci w świętą Katarzynę... chi, chi, chi!

— A ja trzynastu jeszcze nie mam! — z tryumfem rzuciła Ewunia.

* S a m o w t ó r — we dwoje.

* A k o m o d o w a ć się — zastosować się

* D z i e w o s ł ę b — swat.

* F r a u c y m e r — dworki.

* J a s y r — niewola u Tatarów; tu: jeńcy, niewolnice.

* M a t u z a l — wg Biblii dziad Noego żyjący rzekomo 969 lat; przen. ktoś wiekowy, stary.

Jagna skurczyła noskę i przymrużyła jedno oko; Basia pokazała koniuszek języka, udając, że ślini jedwabną nić, a Ewa swoim zwyczajem odęła wargi w spiczasty dziobek. W głębi serca jednak i one wstydyły się niemądrych żartów i przycichły wszystkie. Jakiś czas cicho było w komnacie, ino igły skrzypiały po atłasie.

Tętent koni i turkot kół za wielką był pokusą; zerwały się wszystkie od krosien i poskoczyły do okna; ani stateczna Kasia nie usiadła przy robocie.

— Oho! Cóż za kolebka* na pasach! Goście do jej mości — wrzasnęła piskliwie Jagna, zapominając o obecności królowy. Ewa szturchnęła ją w bok.

— Cicho, bo dostaniesz!

— A cóż to? Prawdę mówię, goście... nie powiadam, że swaty.

— Choć ta i w starym wieku o męża łąco — dodała przemądra Ewa — zwłaszcza gdy się jest infantką*.

— Barwa najmiłościwszego pana! — krzyknęła Basia zdziwiona, dawno już bowiem nikt ze dworu nie zaglądał do Ujazdowa.

— Ee... miałyśmy się czego kwapić... kanonik jakiś aboli opat wysiada stękający, przygarbiony.

— Siadajmy, siadajmy — przynaglała Kasia do roboty — miłościwa pani jeszcze wczoraj dziwowała się, że środkowa gałązka dotąd nie wykończona, chocia dwie nad nią ślęczą.

Basia Szczepiecka, duża, kościata dziewczyna o niezręcznych, zawadiackich ruchach, odwróciła się z rozmachem; trąciła sobą krosna.

— Ojoj... perły się rozsuły*! Matko Chrystusa Pana! — porwała drewnianą krubeczkę*, omal próżną, i rzuciła się na klęczki.

— Pomóżcie, na miły Bóg, coby żadna w szparze nie ostała!

Padły wszystkie plackiem na podłogę i skrzętnie wydrapywały drogocenne paciorki pomiędzy listew i nieszczelnych desek.

Anna Jagiellonka nie zwracała uwagi na rozmowy przy krosnach, nie słyszała wykrzyknika Jagny o nadjeżdżającym gościu ani też spostrzegła połowu pereł. Kłopotowała się wciąż listem pani Niewiarowskiej. Przydałaby się bardzo do osobistych usług owa zachwalana Marysia Krupska, gdyż inne panienki, zepsute łagodnością królowy, nie zawsze — z wyjątkiem Kasiętki — pamiętały o swych obowiązkach. Taka służebna z dobrej szkoły była nabytkiem nader pożądanym. Ale to dziecko... kilkoletnia dziewczynka! Kto się nią zajmie? Gdzie ją podziąć?

— Kachna!

— Słucham waszej królewskiej mości! — odpowiedziała panna Leszczyńska podbiegając.

— Przysuń zydelek, usiądź i uważ, co ci powiem; a wy poniechajcie igieł — dodała do trzech par zaiskrzonych ciekawością oczu. — Możecie iść na wirydarz*, pobiegajcie sobie, dość roboty na dzisiaj.

Dworki pospuszczały nosy na kwintę i wysunęły się gęsiego z komnaty. Lecz zanim jej miłość rozpoczęła naradę ze swą powiernicą, uchylił ktoś drzwi od przedsionka powoli, ciemna główka pazia zajrzała ostrożnie, po czym wszedł chłopaczek dwunastoletni i zatrzymał się u progu wyprostowany jak struna.

— A co tam takiego? — spytała królowa, nierada, że ją tak nie w porę nachodzi.

— Gość przyjechał — odpowiedział krótko.

— Skąd?

* K o l e b k a — kolasa, pojazd.

* I n f a n t k a — tytuł księżniczki domu panującego przeniesiony z Hiszpanii i Portugalii na inne dwory Europy.

* R o z s u ć — rozsypać.

* K r u b k a — skrzyneczka lub torebka z kory.

* W i r y d a r z — czworoboczny dziedziniec wewnątrz zabudowań klasztornych. Tu: ogród.

— Z Warszawy.

Anna porwała się z ławy i przycisnęła ręce do piersi.

— Kto taki?

— Wielebny ksiądz Roguski.

— Lekarz miłościwego pana? Do mnie? Po krótkiej chwili powtórzyła smutnie:

— Lekarz miłościwego pana... ach, tak... kogóż inszego mniemałam ujrzeć! — westchnęła, usiadła na powrót na ławie i obojętnym tonem rzekła do pazia:

— Powiedz jego wielbności, że uprzejmie nań oczekuję. Ty, Kasieńko, zajrzyj do Marcinowej, co tam przyrządza na wieczrę. Miał być krupniczek jaglany, ze skwarkami i cielecą główką w kwaśnej juszce*. Powiedz, niech dogotuje na trzecie danie suszeniny ze śliwek i jabłek na rzadko. Miodem sowicie posłodzić i do loszku wstawić, coby do cna wyziębło; mdli mnie słodka warzą, gdy letnia. Przyjdźcie wszystkie cztery do stołu. A dojrzyj pilnie, coby te kozy przyczesały się gładko i umyły ręce.

Z czterech sióstr Zygmunta Augusta najstarsza Izabela była królową węgierską, Zofia poślubiła księcia brunświckiego, najmłodsza, Katarzyna, Jana Finlandzkiego, który został później królem szwedzkim, jedynie Anna zwiędła w panieńskim stanie.

W dzieciństwie sercem najbliższa bratu, wzajem przez niego kochana, od śmierci Barbary pełna współczucia dla złamanego cierpieniem Zygmunta Augusta, pocieszycielką chciała mu być w nieszczęściu, lecz obumarłe jego serce zamknięte było nawet dla siostry.

Ze względów dynastycznych ożenił się król po raz trzeci, ale nieuleczalnie chora żona budziła w nim taką odrazę, że po niedługich latach odsunął ją precz; mieszkała osamotniona czas jakiś w Radomiu; w końcu wróciła do brata, cesarza niemieckiego Maksymiliana, i wkrótce potem umarła.

Stosunek Zygmunta z Anną pogorszył się w ostatnich latach: surowych obyczajów niewiastę gorszyło lekkomyślne życie brata. Niejeden raz robiła mu wyrzuty, napominała go do naprawy; napomnienia odniosły taki skutek, że król zniechęcił się do siostry, która wzajem nie chciała się z nim spotykać.

Dziś na wiadomość o gościu z Warszawy serce Anny uderzyło nadzieją: a nuż zatęsknił za nią i przyjeżdża, niepomny uraz, spragniony pojednania?... Nie, to był tylko ks. Roguski, którego prawie nie znała.

Jasiek Chojnacki śmiało tym razem otwarł drzwi, wyprzedzając jego wielbność jednym krokiem, i oznajmił gościa miłościwej pani.

W progu stanął wysoki mężczyzna w czarnej sutannie. Skłonił się nisko królownie, co mu tym łatwiej przyszło, że z przyzwyczajenia czy z choroby trzymał się bardzo pochyło i mimo olbrzymiego wzrostu wyglądał na ułomnego. Człowiek to był niepospolicie uczony, znakomitej sławy matematyk, doktor filozofii i medycyny, od kilku lat już, czyli od czasu niedomagania króla, miał w swej pieczy zdrowie króla Zygmunta Augusta, pospołu z księdzem Piotrem z Poznania, również wielce biegłym w sztuce lekarskiej.

— *Laudetur Jesus Christus** — powitał gość boskim słowem siostrę królewską.

Anna Jagiellonka odpowiedziała również po łacinie, wstała z ławy i postąpiła kilka kroków naprzeciw księdza. Przywitała go raz jeszcze bardzo uprzejmie i wskazała wygodny zydel z oparciem, zasłany grubym kobierczykiem.

— Usiądźcie, wielebny panie — rzekła. — Radują mnie wasze odwiedziny; tusze, że nie utrudziła was zbyt krótko droga z Warszawy.

— Krótkać ona, to prawda, ale gościniec zepsuty po wtorkowej burzy; chybotąło kolosą niczym arką czasu potopu. Dziękować Bogu kości jeszcze całe.

— Jakież dobre wieści niesiecie mi od miłościwego króla, wielebny książe?

* *J u c h a* — krew.

* *Laudetur Jesus Christus (lac.)* — niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Niestety, miasto weselić, zasmucić mi przyjdzie waszą królewską miłość: źle słyhać w Warszawie.

— Nie odgaduję znaczenia waszej mowy, a lękam się pytać. Pisał mi przed miesiącem pan oboźny Karwicki, że najdroższy brat mój zaniemógł na bezsenność i brak smaku do jadła. Ufam, że ta lekka chorość ustąpiła bez śladu.

— Jeżeli się ośmielił niepokoić waszą miłość — rzekł ksiądz — to właśnie z onej smutnej przyczyny...

— Z przyczyny?... Przerażacie mnie, wielbny panie!

— Nasz król miłościwy bardzo chory...

— Pogorszyło mu się od owego zasłabnięcia?

— Wasza miłość raczy być przygotowana na najgorsze... Jęk bolesny wydarł się z piersi Anny.

— Jezu miłosierny! Umarł król?

— Jeszcze nie, ale godziny jego policzone.

Królowna pochyliła się nad stołem, wsparła czoło na splecionych rękach i milczała długo.

— Król wciąż gniewny na mnie? — spytała cicho.

— Gniewu on nie miał nigdy przeciw siostrze — odpowiedział ksiądz łagodnie — ino żal w sercu, acz niesłuszny. Wierzajcie mi, wasza miłość, mówię to jako kapłan; i wy sami wiecie, po czyjej stronie wina.

— A! Nie wolno poddanie strofować swego pana, chociażby nawet bratem był Umilowanym. Zawiniłam, odtrącił mnie, a teraz umiera.

— Nie uznawa on swego stanu ani się bliskości śmierci domyśla; a oto z Bożego natchnienia pan oboźny Karwicki nalazł chwilę sposobną i na podziw łącno skłonił serce najmiłościwszego pana ku wam. Nie mieszkając, zebrałem się co rychlej i przyjechałem oznajmić waszej miłości, że król zgody pożąda, widzieć was pragnie, uściskać, może na wieczne pożegnanie.

— Niech będzie uwielbione Imię Pańskie, że tę ciężkość bezmierną odejmie z mego serca! Jakoby spokojną chwilę w życiu miała, gdyby Zygmunt skonał nie pojednany ze mną... Jadę natychmiast!

— Miłościwa królowno, zezwólcie, bym was przestrzegł — rzeki ksiądz. — Noc zapadła, miesiąc na przednówku, wyboje okrutne; ino za wrota wyjedziecie, konie nogi połamią.

— Nie zdzierzę, siedzący w miejscu, gdy on mnie może pilno wygląda.

— Nic wasza miłość nie zyszcze; owszem, przygoda w drodze trafić się może samej nawet waszej miłości i odwlec widzenie z królem, a tu każda godzina waży.

— Cóż tedy robić?

— Udać się niezabawem na spoczynek, a jutro wczesnym rankiem wyjedziemy.

Nie dzwoniło jeszcze na wotywę* u fary, gdy obie kolasy zajeżdżały przed zamek królewski. Z jednej wysiadł ksiądz Roguski, z kozła drugiej zeskoczył Jaś Chojnacki, otworzył wysokie, zasuwane na rygiel drzwiczki i odwalił stopień. Pierwsza zeszła Kasia Leszczyńska, podała rękę królownie, która blada i wzruszona, z pełnymi łez oczyma, łatwo się mogła potknąć na oślizgłych od deszczu, granitowych schodach.

— Raczie, miłościwa pani, poskromić swą żalność i z wesołym, a przynajmniej spokojnym obliczem powitać króla — prosił ksiądz Roguski. — Jak już wspomniałem, nieświadom jest niebezpieczeństwa. Obaj z księdzem Piotrem przyrzekamy mu rychłe ozdrowienie, a śmiertelnej niemocy racje mienimy ustąpieniem gorączki. Pójdę do sypialni oznajmić ostrożnie wasze przybycie miłościwemu panu.

* W o t y w a — msza śpiewana i grana.

Widać Zygmunt August bardzo niecierpliwie oczekiwał siostry, bo zaledwie usiadła w antykamerze*, wszedł spiesznie dworzanin i prosił z pokłonem, by raczyła potrudzić się za nim.

Minęli dwie obszerne komnaty, trzecie drzwi były tylko przymknięte; dworzanin potracił je lekko i usunął się, czyniąc miejsce jej miłości.

Stała w progu.

Deszcz ustał niedawno, a gorące słońce wpadało przez trzy wysokie okna do sypialni królewskiej. Niosło na swych promieniach woń kwiecia lipcowego i rzeźwe tchnienie ziemi przepojonej ulewą.

Łoże królewskie odwrócone głowami od okien, by światło nie raziło oczu chorego, osłonięte było amarantową kotarą na kółkach, zawieszoną w czworobok. W nogach, na adamaszkowej ścianie baldachimu — srebrny krucyfiks na wprost oczu króla, za nim zatknięta palmowa gałąź z ostatniej Wielkiejnocy.

W tej chwili kotara rozsunęta była na boki. Na wysoko spiętrzonych poduszkach, w postawie siedzącej, spoczywał Zygmunt August. Rzedniejące włosy, przycięte krótko, srebrzyły się nad czołem; szara bladeść na twarzy, oczy głęboko zapadłe, na wyschłych, wklęsłych skroniach sieć żył niebieskawych, usta na wpół otwarte... oto był brat ukochany, na którego patrzyła przez łzy Anna Jagiellonka. Jedyne ciemna broda starannie rozczesana, z charakterystycznym przedziałem, przypominała dawnego, młodego króla.

Anna opuściła ręce wzdłuż szaty i stała sztywna, z zaciśniętymi ustami, by głośnym płaczem nie wybuchnąć.

— Otrzyście oczy, wasza miłość — szepnął jej ktoś do ucha — król się przerazi.

Chory, nie poruszając głową, zwrócił oczy ku drzwiom.

— Hanusia... dobrze, żeś przyjechała... szczerym sercem cię . witam.

— Miłościwy bracie...

— Pójdź bliżej... usiądź przy mnie... tak dawnośmy się nie widzieli.

Mówił cicho, krótki oddech głos mu przerywał.

Paź podsunął krzesło, królowa przystąpiła na palcach do łoża, przyklękła i pocałowała brata w rękę. Uśmiechnął się. Przygasłe oczy spojrzały dobrotliwie.

— Przecz nie siadasz?

— Powiedźcie mi pierwej, miłościwy panie, że mi odpuszczacie winy.

— Ty mi przebaczyć wzajem, rzućmy wszystkie urazy w niepamięć.

Usiadła.

— Słabym jest nieco; było już nawet bardzo źle... teraz gorączka ustąpiła dzięki skutecznym lekom, ino siły nadto powoli wracają.

— Wielebni księża, lekarze waszej królewskiej miłości, zalecają wam_ zapewne wzmacniające mięsiwa, stare wino — odpowiedziała Anna, udając, że poprawia włosy, by król nie dojrzał, jak ręką łzy ocierała.

— Właśnie bieda, że mi co najsmaczniejsze podsuwają, a ja patrzeć na jadło nie mogę.

— Trza się przymusić dla zdrowia.

— Radzić łącno, zmusić się trudno. Wiesz... wyjeżdżam jutro do Wilna.

Anna drgnęła. Czyżby mówił nieprzytomnie?

— Wstrzymajcie się jeszcze, miłościwy bracie, aż lepsze zdrowie pozwoli.

— Tak, tak, oni obaj mi to samo powtarzają... ale mnie się już sprykrzyło słuchać. Jadę. Powietrze tutaj szkodzi mi... gdzie indziej będzie lepsze.

— Tak daleko!

— Co? Juźci daleko; ale można jechać powoli, wygodnie, spieszyć się nie będę, po drodze mam Tykocin, Knyszyn... płaczesz? A to czemu?

* A n t y k a m e r a — przedpokój.

— Boję się, panie, o was; ledwie się ku lepszemu obróciło, trzeba szanować słabych sił.
— Właśnie po siły jadę w insze strony, skoro je tutaj postradałem. Nie lękajże się jak dziecko — mówił król coraz głośniejszym głosem, z ożywieniem. — Cóż mi grozi? Jeszcze śmierć daleka ode mnie; wszak pamiętasz, co nam obojgu Cyganka wróżyła?
— Nie pomnę.
— Jak to? Przyjechałaś do Wilna na wesele Kasi z Janem Finlandzkim, to chyba zapamiętałaś, żeśmy na drugi dzień byli na łowach u Krzysztofa Radziwiłła?
— Ach tak, tak; wracaliśmy lasem, wyszła ku nam Cyganka, nawet mój koń się spłoszył, omal nie spadłam.
— No, widzisz. Dałem sobie czytać z dłoni, tyś się niby sromała, przecie białogłowska ciekawość przemogła...
— Teraz mi wstyd.
— Nie wielkie to grzechy; a dziś się człek tej myśli ima i jakoś go ona krzepi.
— Cóż gadała Cyganka?
— Tobie wróżyła wielkiego króla za męża.
— Widzicie, że się nie sprawdziło.
— Cale nie wątpię; każdej godziny stać się to może.
— A wam?
— A mnie, że do siedemdziesiątego drugiego roku dożyje. Dwadzieścia jeszcze lat przede mną... kęs czasu.

Zamilkł zmęczony, głowa opadła na poduszki, drzemał. Anna wstała ostrożnie i usunęła się w najdalszy kąt sypialni, gdzie na ławie siedział ksiądz Roguski.

— Straszno słuchać — szepnęła — tyle nadziei, a tu śmierć u wezglowia stoi.
— Dwóch nas czuwa baczenie — odparł ksiądz — nie dozwolimy, odejść duszy z ciała bez pojednania z Bogiem; opatrzymy naszego miłościwego pana świętościami na ostatnią drogę. Możesz wasza miłość być spokojna. A że się chory ludzi, to ino lżej dla niego i dla nas. Łacniej zdolimy otuchę okazać.

— Słuszne słowa waszej wielbności. Zresztą cygańskie plemię czarów uczone, może ta stara prawdę gadała.

— Miłościwa królowna raczy porachować, ile ubiegło lat od narodzenia Pańskiego.

— Tysiąc pięćsetny siedemdziesiąty drugi przekroczył połowę, o co wam chodzi?

— Siedemdziesiąty drugi — z naciskiem powtórzył ksiądz.

— Hanusiu... — szepnęła Zygmunta nie podnosząc ciężkich powiek.

Stała przy łożu, król ujął ją za rękę.

— Przespałem się... usiądź jeszcze... mam ci coś powiedzieć...

Kto tu jest krom ciebie?

— Jego wielbność ksiądz Roguski i jego wielmożność pan obożny Karwicki.

— Niech się przybliżą. Oto was wiernych i zaufania godnych czynię świadkami, jako w ręce miłej siostry mojej Anny oddaję ostatnie woli mej rozporządzenie, czyli testament. Gdyby ktokolwiek i kiedykolwiek wątpieniu podawał to pismo, mocuję was, byście pod przysięgą zeznali to, co dziś mówię i czynię. Schowaj testament, Hanusiu, a dobrze; nie wybieram się jeszcze na tamten świat, jednakowoż przezorność nie zawadzi. Przekonasz się, iż serce moje pamiętało o tobie. Zaopatrzoną będziesz, jak przystoi ostatniej z Jagiellonów... Ksiądz arcydiakon Fogelweder ma klucz od moich papierów i skrzynek z klejnotami. Na wypadek zgonu, który Bóg w swej łasce niech oddali ode mnie, ty masz odebrać owe klucze... Znowu płaczesz? Lękasz się, że testament spisać kazał. Bądź dobrej myśli, kawał papieru nie uśmierci mnie; gorszy nieprzyjaciel gorączka, a ten już wyrugowan precz, dobrze to czuję. Ostawcie mnie samego, chcę spać, cobym sił nabrał do jutrzejszej drogi.

Nazajutrz, o wczesnej godzinie, by chory mógł zająchać za chłodu na pierwszy popas, wszyscy i wszystko było gotowe do podróży. Lekarze ani słowem nie sprzeciwiali się

zamiarowi miłościwego pana, bo wiedzieli, że nic na świecie już mu ani nie pomoże, ani zaszkodzi. Owszem, jeżeli zmiana miejsca rozerwie, rozweseli króla, tym ci lepiej, kilka dni dłużej pożyje.

Uproszony przez Annę wypił z przymusem kubek mocnego rosółu, przełknął kilka kropel wina, mimo to, gdy go dwóch dworzan przenosiło na łożo umyślnie do drogi przyrządzone, zemdłał i zdawało się, że kona.

Olbrzymi, szeroki wóz, grubo sianem wysłany, a płótnem smołowanym kryty od deszczu, stanął przed podjazdem; sześciu ludzi niosło powolnym, miarowym krokiem miękko uścielone łożo z umierającym królem. Zygmunt August miał oczy zamknięte, twarz martwą, nie widać było, czy oddycha. Anna i pan obożny spojrzeli ze strachem na księdza Roguskiego. Ten wziął chorego za puls i uśmiechnął się smutnie.

— Jeszcze serce bije... — szepnął.

Wsunięto łożo do furgonu, z boku usadowił się ksiądz Piotr z Poznania i ulubieniec króla: Łukasz Górnicki, starosta tykociński. Dworzanin podał na wóz skrzynię z napojem i trzeźwiącymi środkami. Konie ruszyły stępa.

Anna Jagiellonka chwyciła się rękoma za głowę, z płaczem weszła do dworca i biegła z komnaty do komnaty, jakby uciekając przed własnymi żalobnymi myślami.

Tego samego dnia wróciły obie z Kachną do Ujazdowa. Czekwały tam królową liczne kłopoty. Najpierw niezgrabna Basia Szczepiecka, biegnąc na jej powitanie w ciężkich podskokach, potknęła się i skręciła nogę; trzeba było ślać na wieś po sławnego owczarza, by to zwichnięcie naprawił. Potem krajczy Kumelski, wieloletni sługa królowej Bony, a teraz najzaufańszy dworzanin Anny, zwiastował swej pani, że w sąsiedztwie zdarzyły się dwa wypadki morowej zarazy, czyli jak wówczas mówiono: „powietrza”; zatem jedyny ratunek przenieść się w dalsze strony, których jeszcze ta straszna klęska nie dosięgła. Z kolei przystąpiła do jej miłości pani Wronowska szafarka, jękając wśród niskich ukłonów, że zapasy kuchenne wyczerpały się do cna, spiżarnia pusta i... wstyd powiedzieć, ale oprócz jajecznic na skwarkach nie ma nic na wieczerzę.

Anna Jagiellonka uśmiechnęła się smutnie.

— Małec to nieszczęście, moja Wronosiu — rzekła — że nie z przepelnionym żywotem^{*} spać się położymy. Na pierwsze potrzeby dam ci jutro kilka talarów, a co dalej, to się jakoś zaradzi.

Skinęła na Kumelskiego, a gdy podszedł, szepnęła mu do ucha:

— Przyjdź, wasza miłość, jutro po kościele do mojej komnaty, mam jeszcze w skarbczyku nieco srebrnego naczynia.

— O miłościwa królowno! — zawołał stary sługa, wpadając jej w mowę poufale; obejrzał się... Wronowska wyszła, dworki pobiegły do ogrodu. — O miłościwa królowno... toć w onym skarbczyku ledwie resztki! Com się już tych mis i półmisków nanosił do Aarona! A judaszowy syn korzysta z naszych kłopotów i drze łyka... ledwie połowę wartości płaci.

— Cóż robić, zmieniają się czasy, będzie lepiej. Król jego miłość lada dzień oczy zamknie, gdzie panom senatorom w myśli zaopatrzenie królowny! Dopomnę się ja, dopomnę, nie kiwaj głową; ino teraz, gdy serce płacze, nie zdolę gadać o marnym groszu. Dzban duży, ciężki, osóbkki na nim szczerozłote, co najmniej dziesięć czerwonych zań wasza miłość dostaniesz; to wystarczy na jakiś czas. Gości nie przyjmujemy, wina i miodu nie pijamy, co nam po dzbanie.

— Według rozkazania miłościwej pani przyjdę jutro rano — odparł krajczy, nisko się kłaniając.

Przebrawszy się z podróżnych szat w letnią suknię z szafirowego płótna Anna Jagiellonka zamknęła się w swej sypialni i kilka godzin tam pozostała. Gdy wyszła zajrzeć do panien dworskich, miała oczy zaczerwienione od płaczu. ,

^{*} Ż y w o t — tu: żołądek, wnętrzności.

— Cóż, postąpiła robota? — spytała Jagny Kłddzińskiej.
— O tak! Czyli... właściwie... zda mi się... że... nie bardzo.
— Takeśmy się o waszą miłość niepokoiły... — rzuciła Ewunia z żałośliwą minką.
— Że palce igły utrzymać nie mogły... co? — rzekła królowa niby surowym głosem, ale oczy nic a nic nie były surowe.

— Właśnie. Jak tu szyć złote listki i perełkami dziać po atlasie, gdy człek ma co innego w głowie.

Anna zaśmiała się mimo woli.

— O tak, sprawiedliwieś powiedziała, wždy od rana do nocy macie co inszego w głowie niż robotę. No, dziś trzeci lipca, chyba mi wykończycie ten obrus na wiązanie*?

— O najmiłościwsza pani... wykończymy, wykończymy! — zawołały jednym głosem trzy młodsze panienki, a Kasia Leszczyńska bez wykrzykników pocałowała królową w rękę, nawlokła złotą nić w igłę i zasiadła do krosien.

— Jeszcze nie zaczynaj, Kasieńko, mam dla ciebie inszą robotę. Pójdę do mojej komnaty, podyktuję ci list do pani Niewiarowskiej. Jagna i Ewa niech spakują pościel w tłumoki, bieliznę i szatki do skrzynek; Wronowską uprzedzić, by najpotrzebniejsze statki kuchenne i swoje ubiory także przysposobiła do drogi. Kachna zajmie się moimi rzeczami. Jutro pośniadawszy wyjeżdżamy. Pan krajczy straszy mnie powietrzem, tedy musimy pomykać w zdrowsze strony.

Tak więc Anna Jagiellonka, uciekając przed zarazą, przeniosła się ze swym małym dworem do Piaseczna.

W cztery czy w pięć dni później właśnie Ewa z Jagną goniły się dookoła trawnika, a Baśka z bolącą nogą siedziała na schodkach i zazdrosnym okiem śledziła ich podskoki, wózek jakiś niepokazny podjechał ku bramie. Woźnica w białej płótniance zatrzymał konie skromnie przed wrotami.

— Oho... cóż za goście znowu? — zawołała Ewa chowając się za krzakiem jaśminu. — Pójdź ino, Jaguś, zobacz, bo ja z daleka nie dojrzę.

— Ii... goście... — odparła Jagna, ruszając ramionami. — Dwie dziewczynki z wiejska odziane, tłumoczek wytarty i zawiniątko w zgrzebnym płótnie.

— Ale czego tu chcą? Do kogo przyjechały?... Patrzcie, patrzcie, jej miłość wychyla się oknem i miga palcem na tę starszą!

— Oho, zeskoczyła z wozu, maleńką wzięła na rękę.

— Słyszał kto coś podobnego? Prosto od schodów wali jakby do własnego domu... Rety, Jaguś... Kachna ku nim wybiega... do komnaty jej miłości drzwi otwiera...

Marysia Krupska weszła z Kasią do izby, małą Krysię spuściła z ramion na ziemię i przy samym progu pokłoniła się nisko.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki amen — odpowiedziała królowa, obrzucając dziewczynę badawczym spojrzeniem.

— Przybliź się, moje dziecko; masz pismo od pani Niewiarowskiej?

Marysia ukloniła się po raz drugi, wyjęła zza gorsecika papier we czworo złożony, woskiem zapieczętowany i chciała go wręczyć królownie, aliści dwie małe rączki pociągnęły ją w tył, Krysia uwiesiła się całym ciężarem u spódnicy swej opiekunki,

— Chodźmy stąd, Maryś... ja chcę do domu! — piszczalo dziecko, krzywiąc buzię do płaczu.

— Cichaj, moje złotości — szepnęła zmieszana dziewczyna, głaszcząc zgrymaszonego malca po główce. — Cichaj, nie płacz, dam ci kukielczkę świetlušką z miodem.

— Daj zaraz!

* W i ą z a n i e — upominek imieninowy.

— Nie, pierwaj musisz być grzeczna.

— Nie będę grzeczna, nie puszcę cię.

Anna Jagiellonka, rozweselona tym widokiem, rzekła ze śmiechem:

— Nie brońże jej, niech robi, co chce; już mnie uprzedzono, że ta sierotka na krok cię nie odstępuje. Przybliżcie się obie razem. — Wzięła list z rąk Marysi, położyła go na stole i mówiła: — Chwalono mi cię, że znasz służbę, szycia się nie złękiesz, jesteś posłuszna i pilna.

Marysia spuściła oczy skromnie i milczała.

— Tuszę, iż nie za wielkie były pochwały; siła pożytecznych rzeczy mogłaś się nauczyć u pani kasztelanowej płockiej.

— Krom wszelakich robótek umiem czytać i pisać — rzekła cicho Marysia.

— Aa... to bardzo dobrze; musisz ćwiczyć się co dzień, abyś nie zapomniała. Wypoczniesz dziś z drogi, moja Marysiu; panna Leszczyńska wskaże ci izdebkę, gdzie sypiać będziesz i gdzie swoje skrzynki z rzeczami ustawisz. Ma się rozumieć, ta malutka dostanie łóżeczko wedle twego, coby jej nie było markotno. Jakże ci na imię, dziecinko?

— Pocałuj w rączkę miłościwą panią, Krysiu, i powiedz, jak się zowiesz. — Mówiąc to Marysia popchnęła małą do kolan królowny.

— Ja jestem Krysia — rzekło dziecko spoglądając rezolutnie na uśmiechniętą panią — a ty?

— O Jezus! — Marysia załamała rękę.

— A ja Hanusia — odpowiedziała królowna z dobrocią. — Pisała mi pani Niewiarowska, że dziecko jest płochliwe; tymczasem śmieje w oczy patrzy, to dobrze.

— Dzikus z niej jeszcze wielki, proszę waszej miłości; ino gdy się mojej spódnicy chwyci, taka ją dzielność ogarnia.

Anna Jagiellonka położyła pieszczotliwie rękę na włosach dziewczynki.

— Bardzo Marysię miłujesz, prawda?

— Jużci... bawi się ze mną, a zaś potem... bawi się ze mną...

— A za matusią ci żal?

— Dlaczego?

— Jak to? Wszak z matusią przyszedł do Służewa i pomarli.

— Jużci, żal; ale to była ino moja niania...

— Niania?

— Moja matusia prześliczna... w czerwonej sukni chadza, o... w takiej... jak raz w takiej! — I pokazała paluszkami adamaszkową kotarę nad łóżkiem jej miłości.

— Naprawdę?

— A jakże... I żółty łańcuszek na szyi nosi, a katankę ma wyszytą jarzącymi kamykami, tak się błyszczą a świecą, a migają, aż strach! Moja matusia ładniejsza niż wy.

Marysia potrząsnęła głową.

— To tak co dzień, proszę miłościwej pani; wiecznie jedno w kółko rozpowiada. A powiedz, Krysiu, jak tatuś wygląda?

— Na koniku jedzie, tup, tup, tup, cały w żelaznym odzieniu... za nim wojsko... białe skrzydła furczą od wiatru, szumią, szumią, tatuś ino wasy kręci... matusia z okna patrzy... tatuś się śmieje do matusi...

— A czemuż cię niania zabrała od mamy?

— Nie zabrała; to oni pojechali.

— Kto taki?.

— Ano tatuś i mamusia.

— Dokąd pojechali?

— Nie wiem. Ponoć do Bozi.

Spojrzenia Anny i Marysi skrzyżowały się znowu.

— I ciebie ostawili samiutką?

— Ano, samiutką, z nianią. Dopiero jak czarny pan przyjechał na gród...

— Na jaki gród?

— Jakoż mam gadać? Do naszego domu przecie. Wszyscy tak mówią. Niania zbudziła mnie w nocy, zawiniątko na plecy, mnie na ręce i uciekła. Gadała, że czarny pan to gorszy od diabła.

— Coś się tam złego musiało dziać, proszę waszej miłości — odezwała się Marysia — bo ta niewiasta, co z Krysią przysła, nie chciała się przyznać, ani skąd idą, ani po co, ani do kogo. Mowę miała całe odmienną, choć polską, widno szła z dalekiego kraju. Jeden raz tylko, na kilka godzin przed śmiercią (nikogo przy niej nie było krom mnie), rozplakała się i lamenciła: „O Jezu miłosierny, opiekuj się biedną sierotą! Niech jej wrogi nigdy nie znajdą!... Pokaraj ich śmiercią i ogniem piekielnym!” Klękam wedle łóżka i pytam: „Gdzie te wrogi? Powiedzcie, cobym umiała dziecka strzec przed nimi”. Pojrzała na mnie zalęknionym wzrokiem, koniecznie chciała coś rzec, aż tu skurcz jej gardło ścisnął, zamknął mowę i już tak została do skonania.

— Dziwy, dziwy, kto nam wytłumaczy, co to za tajemnica? — troskała się królowna. — Dziecina z wielkiego domu, nie ma wątplenia, ale czyja?... Co tam takiego? Któraż beze drzwi zaziera? No, wejdź, czego chcesz?

— To ja, Ewunia.

— Co powiesz?

— Z Knyszyna.

— Co?

— Przyjechał...

— Kto przyjechał? Cedzisz słówko za słówkiem...

— Pan obożny Karwicki. Czy może wejść?

— Proś, proś, czekam z upragnieniem!

Ewa drzwi uchyliła, pan Karwicki przekroczył próg i szedł powoli ze spuszczoną głową, jakby nie śmiał w oczy spojrzeć królownie.

Anna powstała z ławy.

— Złe wieści? — spytała cicho.

— Bardzo złe — odpowiedział poseł.

— Miłościwy pan?

— Onegdaj, siódmego lipca, o godzinie szóstej wieczorem życie zakończył.

ROZDZIAŁ II

Mijały dni, miesiące, królowna Anna przenosiła się ze swymi coraz to w inne strony, uciekając przed zarzą. Nareszcie zamieszkała w Łomży.

Miłościwa pani upodobała sobie maleńką Krysię, pieściła sierotkę i rada ją widziała w swych komnatach. Tajemnicza przeszłość dziecka utkwiała jej w pamięci; nieraz przemyślała całymi godzinami, jak by to i z czyją pomocą dociec prawdy.

I znowu przyjechał gość. Tym razem był to pan kasztelan krakowski, Samuel Zborowski, którego królowna bardzo lubiła, a z matką jego była w przyjaźni od lat dzieciennych. Toteż gdy Jaś Chojnacki, pełniąc swój paziowski obowiązek, oznajmił pana kasztelanica, jej miłość aż klasnęła w ręce z uciechy.

— Proś, proś, a cóż za dobra nowina! Miły sercu memu ten gość!

Zborowski już stał w progu, gdy ostatnich słów domawiała: piękna jego twarz zajaśniała dumnym zadowoleniem; pokłonił się w pas, rzucił czapkę i rękawice swemu paziowi i szedł spiesźnie. Anna Jagiellonka podała mu rękę do pocałowania i wskazała miejsce na ławie naprzeciw siebie.

— Ani pytam o zdrowie twej miłości, wyglądasz jak krew :z mlekiem; wstyd moim dziewczkom, gdy pojrzą na cię. Miłościwa matka jak się miewa?

— Pokornie dziękuję, w dobrym zdrowiu była, gdym odjeżdżał. A tu w Łomży wszystko po woli waszej królewskiej miłości się wiedzie?

— Dawno już minęły te czasy, kiedy się co wedle mojej woli czyniło. Ino mnie rodzic odszedł a matka umiłowana, doznając sieroctwa niemal na każdym kroku. Panowie Rad Koronnych zahaczyli pono, że ostatnia z Jagiellonów jeszcze przy życiu; nijakiego nie mam zaopatrzenia. Powiem ci w zaufaniu... — obejrzała się, dworki pamiętne rozkazów jej miłości, by nie przeszkadzać w rozmowie, umknęły cichutko. Jedna tylko Krysią bawiła się z pieskiem przy kominie i paż Zborowskiego stał u drzwi, nieruchomy, sztywny, ze spuszczonej oczyma. — Powiem ci w zaufaniu, że niemal wszystko, co droższe, wysprzedalam. Za całe srebro został mi ino kubeczek, z którego miłościwa matka raczyła mleko pijać. Ten jeden jedyny chowam jako diamenty, jako świętą pamiątkę. Nazwałam go sierotką. Taki brak cierpię, że mi się usta nie chcą złożyć na wypowiedzenie onej goryczy. Na barwę dla mego dworu* nie stać mię; w łataniej odzieży chodzi służba córki Zygmuntovej. Głód nieraz cierpimy...

Żałość ścisnęła ją za gardło, głos jej się urwał.

Krysią rozłożyła się na podłodze przy kominie z pełnym podółkiem szmacianych laleczek, cennych podarunków szytych przez panny dworskie dla ulubienicy królowny i całego fraucymeru. Charcik jej miłości, zaprzyjaźniony z dziewczynką, która mu nie szczędziła słodkich kąsków niemal z własną krzywdą, wygrzewał się przed ogniem przytulony do jej nóżek.

Zazwyczaj mała Krysią wyborne urządzała zabawy ze swymi lalkami. Raz byli to księżęta i księżniczki z nie znanych krajów, co przyjechali w odwiedziny do miłościwej pani. Wtedy nadawała im przedziwne jakieś imiona własnego pomysłu; to znowu ona sama była królowną Anną, a płócienne bałwanki nazywały się Kasia, Ewa, Jagna, Baśka, Wronosia, Szmigielska, Marcinowa. Niekiedy, ale rzadko bardzo, z najstrojniejszej lalki robiła się mamusia, największa z poczernioną głową to był tatuś, gruba i krótka stawała się niania i rzecz się działa gdzieś w nieokreślonej przestrzeni, daleko, daleko, „tam, u nas na grodzie”.

Lalki, których było ze dwadzieścia, najlepiej lubiły tańczyć, potem zajadać dobry obiadek, na który dostarczała słodkich okruszyn i suszonych owoców pani Wronowska; czasem

* Barwa dla dworu — liberia, t.j. ubiór dla służby, jednolitego koloru i kroju.

królewna Krysia przybierała surową minkę i strofowała leniwe dworki,, sadzała je do kątów na pokutę, zupełnie tak jak Marysia ją nieraz stawiała noskiem do ściany za nieposłuszeństwo. Nawet starsi mieli niemalą uciechę, gdy im się udało podsłuchać paplaniny rozbawionego dziecka.

Aż tu dziś jak na złość nic się nie udawało; laleczki czegoś zbrzydły, nie chciały gadać, żadna nie umiała stać ani siedzieć, pozapominały swych cudackich imion, rozpacz prawdziwa.

Aha... to ten chłopak nieznośny stoi pod drzwiami jak tyka, niby to w ziemię patrzy, a raz wraz łypie okiem na Krysie królewny.

— Ty... pójdz ino tutaj... — zaszemrał nieśmiały głosik od komina,

Służbisty paż ani drgnął. Powieki tylko uniosły się odrobinę, z oczu strzelił jasny promyczek i zagasł pod rzęsami.

— Ty... — powtórzyła Krysia głośniej — pobaw się ze mną.

— Nie wolno — odmruknął chłopiec.

— Dlaczego? Boisz się pana? Rozmawia przecież z jej miłością, ani cię widział nie będzie. Patrzaj, jakie ładne Musie...

— Co mi po kukłach... — syknął przez zęby. — To nie dla mnie zabawka.

— Nie lubisz lalusiów? Naprawdę nie lubisz? Ach, szkoda! A pieski lubisz? Widzisz, jaki ten przedziwny? Takie ma nóżki cieniutkie, niczym gałęczeczki, a pyszczuś, widzisz, jak wydłużony? Śmiech zbiera, prawda? No... połóż tę czapkę i te rękawice na przymurku a siedhij sobie wedle mnie... ot tak, widzisz, nic ci pan nie uczyni, bo okrutnie zagadany.

— Plagi* dostanę.

— Gdzie zaś! Będziemy dawać pozór: ino smyrmie nogą, ty podskoczysz do drzwi. Toś ty jego pacholik?

— Paż jestem! — odpowiedział chłopiec i zadarł nos ku powale.

— Paż... aha, tak jak nasz Jasiak, już wiem. A tobie jak?

— Co mnie?

— No... Jasiak, Wojtek, Staszek czy co takiego?

— Aha... Jędrus mi jest!... Chciałem rzec: Andrzej. Andrzej Chwalibóg. A ty?

— Ja? Krysia.

— A dalej?

— Cóż ma być dalej? Sad za dworem, a potem las.

— Et, co z tobą gadać! Pytam, jak się dalej nazywasz?

— Ano dziewczynka maleńka, a gdy urosnę, to będę panną u jej miłości, tak jak Ewusia albo Kachna. Pogłaskaj pieska, prawda, jaki gładziutki? Niczym odświętna szata jej miłości. Wiesz co, bawmy się tak: ja będę żoną, ty męż, a to nasze dzieci.

— I piesek też?

— Co też ty gadasz! Taki duży, a nie wie, że pieskowe mamy muszą też być pieski. Ino lalusie są nasze.

— No i co?

— No i ożenię się z tobą, no i pójdziemy do sadu wiśnie rac, niby to, bo przecie teraz jeszcze zima. Narwiemy pełny kosz i... tego.

— I czego?

— Już nie pomnę, zahaczyłam. Znowu ty wymyśl co nieco, dlaczego ja ino mam gadać?

— Ano dobrze. Ja pojedę na łowy.

— Tak właśnie jak mój tatuś! A ja zostanę na grodzie, będę przędła tak jak moja mamusia.

— I będziesz tęskniła za mną.

— A jakże. Oknem wyglądała będę i tak sobie zaśpiewam:

* P l a g i — chłosta, kara.

Czekam na cię, Jasiu, oczy wypatruję,
Widzi Bóg na niebie, jako cię miłuję.

— Śliczna śpiewka; ino dlaczego „Jasiu”?

— Bo mnie tak niania nauczyła.

Anna Jagiellonka wyjęła chustkę z torebki zwisającej u pasa na jedwabnym sznurze, otarła oczy i dalej powierzała swe skargi życzliwemu sercu Samuela Zborowskiego.

— Przewłóczą mnie to tam, to sam; w lutym koniecznie żądali, bym jechała do Krasnegostawu albo do Łęczycy; oparłam się. ledwie mi dali spokój. Ale za to, gdym się rwała do Tykocina po śmierci Zygmunta, by uczcić modlitwą najdroższego brata zwłoki, to mię nie dopuszczono. Panowie Rad Koronnych dozorują mię ściśle, lękają się, bym co nie knowała wedle elekcji nowego króla.

— Miłościwa pani... gdzieżby to być mogło! Chyba złośliwe języki donoszą wam nicpotem.

— Wierz mi, twoja miłość, że tak jest, jako mówię. W sami Nowy Rok przyjeżdżał dworzanin ksiądz biskupa krakowskiego z pisaniem srodze niegodziwym. Pomawiają mnie o tajemne porozumiewanie się z dworem wiedeńskim i z siostrą moją Katarzyną. Ksiądz biskup ważył się przyganiać mi z tej przyczyny. Odpowiedziałam krótko, że istotnie odbieram listy od krewnych i przyjaciół, czego mi za życia najmiłościwszego rodzica mego, jako i za panowania brata, nikto nie wzbraniał. Czyliż nie jawne* jechał od granicy dworzanin cesarski z listami? Zarówno i siostry moje, Zofia i Katarzyna, nierzadko pisują do mnie. Sama obyczajność nakazuje na listy odpowiadać; a jednak znając powinność względem swego stanu królewskiego i panińskiego, że bez wiedzy panów Rad Koronnych nic nie mam czynić, ani jednym słowem na one listy nawet jej królewskiej miłości siostrze; mej, nie odpisałam.

— Wyśmienicie wasza królewska miłość uczyniła, rzucając taką odpowiedź zuchwalcom. Cała ta elekcja to istna Wieża Babel; już blisko dziesięć miesięcy upływa od śmierci najmiłościwszego pana, na zjeździe w Łowiczu ino krzyku było nad miarę, a pożytku nijakiego. Teraz wre i kipi na Błoniach pod Warszawą, obiecujemy sobie, że wybór króla dojdzie przecie da skutku, ale Bóg jeden raczy wiedzieć, czy łąco się te rozstrzelone głosy zgodzą na jednego pana.

— A któż, zdaniem twej miłości, najbliżej tronu? — spytała ciekawie królowna.

— O ilem wymiarkował, król szwedzki ma przeciw sobie całą Litwę, tedy zapora omal nieprzełamana. Arcyksiążę, zalecany przez panów senatorów, u szlachty nie ma poparcia; jako że Polak Niemca od wieka nienawidzi. Księcia moskiewskiego boją się, iżby dla narodu nie był tyranem; jeszcze i posłów nie raczył przysłać, ino listami na tron się wprasza. Niekórtzy Piasta rają; swego brata chcą mieć na tronie, krew z krwi, kość z kości naszych... Ale tych niewiele.

— Zatem pozostaje ino...

— Henryk Walezy, brat króla francuskiego. Ten ma stronników mocnych w senacie, poseł jego siła obietnic rzuca narodowi.

— Słyszałam i ja o tym. Słyszałam inne jeszcze rzeczy: panowie senatorzy, widno dla odwdzięczenia księciu za tyle łask przyobiecanych, usunęli z paktów kondycję* poślubienia królowny Anny.

— Pierwsze słyszę!

— Trzymają to bezprawie w tajemnicy, bo im samym siebie wstydnó. Wierzaj mi, twoja miłość, nie o pozyskanie małżonka mi chodzi, którego nie znam, nawet konterfektu onego nie widziałam; niesprawiedliwość mię gniewa, lekceważenie mojej osoby, pomiatanie krwią

* K o n d y c j a – dawn. warunek, zastrzeżenie.

królewską. Wždy po Bogu a prawdzie ja jedna dziedziczką tronu jestem! Mnie winni koronować, a dopiero myśleć o przydaniu małżonka królowej.

Głos Anny Jagiellonki drżał oburzeniem. Po długiej chwili uspokoiła się i pytała dalej:

— Powiadajże, twoja miłość, rychło temu, a dobry koniec przewidujesz?

— Gdym odjeżdżał z Warszawy, ksiązę Henryk mało miał przeciwników. Jednakowo nie przysięgałbym jeszcze na nic. W ostatnim dniu zawionie jaki wichur przeciwny, ci, co krzyczeli „biało”, wołać będą „czarno” i dostaniemy jakiego chana albo sułtana za króla. Wszelako, którykolwiek z pretendentów królem będzie obrany, musicie być pierwej w Krakowie niż on. Niech nowy pan gościem będzie waszym na Wawelu, a wy gospodynią. Tak się godzi.

Oczy królewny zaszyły łzami.

— Zaiste, wiernego przyjaciela to rada, usłucham jej w pełni.

— Wieczera na stole! — oznajmił Jaś Chojnacki, otwierając na rozcież drzwi do jadalni.

Pani Szmigielska, nadworna szwaczka Anny Jagiellonki, pani Świdnicka, ochmistrzyni, i wszystkie panny szyły a szyły od rana do późnego wieczora suknie dla jej miłości. Pieniądze potrzebne na stroje i inne wydatki pożyczyla siostrze księżna Zofia brunświcka, do której z listem jeździł zaufany dworzanin pan podstoli Kroczewski.

Królewna nie tylko doglądała pilnie roboty, ale co dzień prawie zasiadała w gronie swych dworek i pracowała razem z nimi. Jakkolwiek od lat blisko dziesięciu żyła z dala od świata i nie myślała o strojach, jakkolwiek nie ukrywała swych lat, teraz! postanowiła wystąpić z całą świetnością na przyjęcie króla! Referendarz Czarnkowski dostarczył jej potajemnie portretu młodego francuskiego książątka i... zgodnie z prawdą przyznać trzeba, że ten śliczny panicz w aksamitnym berecie z piórem, w szerokiej, sztywnej krezie srodze wpadł w oko pięćdziesięcioletniej infantce. Zanadto była rozsądna, aby przypuszczać, że wzbudził gorący afekt w jego sercu, ale chciała przynajmniej wywrzeć jak najlepsze wrażenie, zyskać życzliwe względy króla, a co potem... ileż dziwnych, nieprawdopodobnych rzeczy zdarza się w życiu ludzkim!

— Czy miłościwa pani raczy mieć tę altembasową* szatę przybraną malinowym aksamitem w srebrne kwiaty, czy też może atlasem zielonym? — spytała pani Szmigielska, przykładając z prawej strony materii przykrojonej na suknię aksamit, a z lewej atlas.

— Jak się zda Szmigielsi, która barwa lepiej odbija?

— Wedle mego rozumienia to ino czerwona. Zwłaszcza że i kwiaty srebrne w szerokich niemieckich rękawach ślicznie się wydadzą. Bo zda mi się, że wczoraj była mowa o tym, że rękawy mają być niemieckie.

— Tak, tak, a czy będzie opadła, czy też pod gardło?

— Opadła skroilałam, proszę waszej królewskiej miłości. Taka strojna szata musi być mocno wycięta.

— Ino nie zanadto, broń Boże! Niech Szmigielsia pamiętaj bobyśmy musieli nadstawiać. A ty, Kasieńko, co tam ściubiesz?

— Haftki srebrne przyszywam do hazuki* waszej królewskiej miłości.

— Czym będzie podszyta?

— Karmazynową aksamitną podszyje się sobolami, szarą sukienną drobnouchnym siwym barankiem, a półgiermacze* popielicami. Czy miłościwa pani zgadza się, żeby tak było?

— Wyśmienicie; kochana Szmigielsia zawsze najlepiej wszystko rozrządzi. Ale — ale, czy teletowa* modra już uszyta?

* A l t e m b a s — tkanina o osnowie jedwabnej i złotym wątku.

* H a z u k a — długa suknia wierzchnia.

* P ó ł g i e r m a c z — krótkie okrycie wierzchnie.

* T e l e t — ciężka tkanina jedwabna przetykana złotem.

— Właśnie rozłożyliśmy ją na dwóch ławach, coby miłościwa pani mogła obejrzyć wygodnie.

— Ładna, bardzo ładna; podoba mi się, że rękawy z bufikiem. Już to zawsze lubiałam hiszpańską a włoską modę; niemiecki strój ociężałe wygląda. Ale dotychczas ino same strojne suknie widzę; czas pomyśleć o ciemnych, na rano do kościoła lub na przechadzkę po wirydarzu.

— A jakże, a jakże; czyżbym mogła zapomnieć o tak ważnej sprawie — odpowiadała z przejęciem Szmigielska. — Właśnie jej miłość pani Świdnicka ma w robocie adamszkową szarą wążiuchną, bramowaną złotogłowiem. Jagna rękawy zeszywa. Będzie także czarna atlasowa, pod gardło hiszpańską modą, i teletowa drzewianego koloru. Ale niech się miłościwa pani nie gniewa, umyśliłam sobie jeszcze dwie i choćby mnie kara miała spotkać, nie ustąpię, ino uszyję.

— Jakież to będą? Powiedz wasza miłość spiesznie, schnę z ciekawości.

— Niech miłościwa pani uważnie słucha; istnie królewskie to będą szaty. Jedna tabinowa*, leciuchna, ni złota, ni brunatna, bardzo nisko z ramion opada.

— Za nic nie chcę! Nie chcę! Mówiłam Szmigielsi, że na nijaką nieskromność nie zezwolę.

— Najmiłościwsza pani krzywdzi mnie takowym posądkiem; gdzieżbym ja się ważyła czynić coś wbrew jej poleceniom! Tedy wykrój będzie głęboki, za to giezłeczko* bieluchne, z najcieńszego jedwabnego sitka przysłoni ciało, a zakończy je dokoła szyi trepella suto namarszczona i nieco przykrochmalona.

— Trepella? Śmieszne jakieś nazwanie; co to jest? — spytała Ewusia:

— Kreza przecie — wytłumaczyła Kasia — toć ją właśnie obrębiasz w tej chwili.

— Cichoże, dziewczęta! Nie dacie człeku skończyć — połajała panienki pani Szmigielska. — Ostatnia i najpiękniejsza suknia będzie ze srebrogłowiu* białego, górą i dołem w złote esy wyszywana, rękawy rzezane siecią ze złotych nici kryte, a w każdym oczku siatki pajęczek misterny. Miłościwa królowna podziękuje mi osobliwie za te dwie szaty.

— Bieretek* aksamitnych nie trzeba będzie sprawiać, Bogu dzięki — rzekła Anna — mam ich dziesięć w różnych barwach, nawet złotem i kamieniami zdobnych; te mi na wszelką potrzebę wystarczą. Karwatkę* lekką z cienkiego sukna musicie mi uszyć na wypadek chłodnych wieczorów w lecie; obramować bobrami, ale w spód futra nie dawać. Pas mam ino jeden, złoty, łańcuchowy, i to bez kamieni! Cóż robić... w tykocińskim skarbcu znalazłoby się klejnotów siła po nieboszczce królowej Barbarze; wszystkie mi brat miłościwy testamentem podarował. Cóż, kiedy panowie Rada opieczętowali każdą kłódkę i do własności nie ma sposobu się dostać.

Henryk Walezjusz został obrany królem w dniu 16 maja 1573 r., lecz przyjazd jego zapowiedziano dopiero na początek przyszłego roku.

Anna Jagiellonka wahała się, czy pozostać w Łomży lub też jechać do Płocka jeszcze na kilka tygodni. W końcu umyśliła spędzić Boże Narodzenie w Warszawie, a natychmiast po świętach wyjechać do Częstochowy; następnie miała się połączyć z orszakiem pogrzebowym króla Zygmunta Augusta, zdążającym powoli do Krakowa.

Połowę swego dworu wysłała pod opieką podstolego Kroczewskiego do Krakowa dla odnowienia i zaopatrzenia we wszelkie porządki komnat po śp. królowej Elżbiecie, pierwszej żonie Zygmunta Augusta, te bowiem przeznaczyła na swe mieszkanie. Przy królownie zostały

* T a b i n — rodzaj tafty, cienki, połyskliwy jedwab.

* G i e z ł o — cienkie płótno; tu przejrzysta biała tkanina.

* S r e b r o g ł ó w — materia jedwabna przetykana srebrem.

* B i e r e t k a — okrągła czepeczka.

* K a r w a t k a — długi kaftan lub płaszcz z prostego sukna.

Kasia Leszczyńska, Marysia Krupska z nieodłączną Krysią i Marcinowa, kucharka. Urząd marszałka, pełnomocnika, dostawcy, podskarbiego, opiekuna, doradcy i pocieszyciela we wszelkiej biedzie piastował w jednej osobie pan krajczy Kumelski, od lat czterdziestu sługa królowej starej, a następnie Anny.

Dwudziestego ósmego grudnia jeszcze nie świtało, gdy królowa ze swą małą czeladką opuszczała Warszawę. Ogromna kolebka, szczelnie zamknięta i futrami opatrzona od mrozu, mogła pomieścić wygodnie sześć osób; lecz jechała w niej tylko miłościwa pani z Kachną, a na przednim siedzeniu Marysia Krupska z Krysią i malutki charcik Pazzo. W drugim wozie, acz niepokaznym, lecz zabezpieczonym od zimna, mieli jechać staruszkowie: pan Kumelski i Marcinowa.

— A gdzie pierwszy nocleg? — spytała krajczego Anna Jagiellonka, osłaniając siebie i swoje towarzyski olbrzymią wilczurą.

— Najporęcniej będzie zajechać do Mikołaja Gwoźdźcia, co trzyma karczmę .w Rawie, Wygody wielkiej nie znajdziemy, to pewna; ale są przecie w tłumokach poduszki, pierzyny, baranic kilka, to się na siennikach podścielę, będzie miękko i ciepło. Z jadłem takż nie bieda, choćbyśmy nic z owego Gwoźdźcia nie udarli, swoich zapasów jest dosyć. Marcinowa rzetelnie się krzątała z jaki dobry tydzień, niczemyśmy wyjechali.

— A pan krajczy jeszcze lepiej biegął i skupował jedno za drugim. Myślicie, że nie wiem?

Kumelski spojrzął z udanym giewem na Kasię.

— Babskie plotki i tyle...

Dopomógł jej miłości otulić się futrem, zasunął rygiel mocno, jeszcze drzwiczek spróbował, pomacał błony u okienek, czy szczelnie przylegają, obejrzał uprząż, czy nie przetarta, i zawołał na woźnicę:

— No, ruszaj w Imię Boskie!

Sam podkoczył do bryczki, gdzie już siedziała Marcinowa, nie do królewskiej kucharki, ale do kopicy siana podobna, tyle chust, kozuchów i płachetek powsadzała na swą i tak do zbyt grubą i szeroką osobę. Usadowił się obok, furman przeżegnał k nie batem, pojechali.

Na pierwszym popasie ani królowa, ani panny nie chciały wysiadać z kolebki; dobrze im było, cieplutko, bały się zmarznąć. Przyniesiono im więc tylko po kawałku pieczonego miesi na chlebie, miłościwej pani kubeczek wina, a dziewczętom wody. Kumelski właśnie podał śniadanie, gdy go ktoś odtrącił od drzwiczek i głowa kobiety pozawijana w chustki, że ledwie koniec nosa było widać, wsunęła się zuchwale do środka powozu.

— Co to jest! Jak śmiesz napastować państwo! Precz! — krzyknął krajczy ostro, wziął babę za kark i odrzucił silnie na bok. Upadła na kupę śniegu, zajęczała, że biedna, głodna, państwo nielitościwi, i poszła z wolna, wspierając się na kiju, do jednokonnego wózka czekającego na uboczu. Wygramoliła się na siedzenie wcale rzeżwo, woźnica zaciął po dwakroć konika i nim się kto opatrzył, już ani śladu po nich nie zostało.

— Żebraczka? Złodziejka? Czy obłąkana? — dziwowała królowa. — Bylibyśmy ją przecie pożywili, gdyby choć moment zaczekała.

— Et, co sobie wasza królewska miłość głowę zaprzęta włóczęgą jakąś! Wlazła, dostała po łbie, umknęła, niech ją tam!

Co kilka godzin popasano, by nie męczyć koni, a i woźnicom dać wypocząć, zagrzać się, kości wyprostować. Zmrok zapadał; gdy oba powozy zatrzymały się przed karczmą Mikołaja Gwoźdźcia. Domek ten stał pierwszy u wjazdu do nędznej miejsciny; krzywe jego i pogarbione mury nigdy prawdopodobnie jeszcze nie gościły w swym wnętrzu tak znakomitych podróżnych jak dzisiaj. Służba królowy miała surowo przykazane nie wyjawiać nazwiska swej pani, mimo to pan Mikołaj Gwoźdź, okiem tylko rzuciwszy na konie, kolasę i wysiadające z niej niewiasty, skreślił się w obręcz i byłby stał bez końca w tej wdzięcznej postaci gdyby go Kumelski nie uderzył ręką po ramieniu.

— Hej, gospodarzu, powietrze was ruszyło czy co, żeście się tak złamali we dwoje?

Karczmarz skoczył na równe nogi i wyprostował się sztywnie,

— Pokorny służka, uniżony pacholiczek waszych miłościów... raczcie wyświadczyć łaskę, dobrodziejstwo temu domeczkowi mojemu, przestąpić ubożuchny próg swymi szlachetnymi stopeczkami i wejść pod nędzny daszek biednego Mikołaja.

Weszli wszyscy do izby szynkowej.

— Czy macie przystojne pomieszczenie i posłanie dla jej wielmożności pani miecznikowej i trzech pańien służebnych? — spytał Kumelski. — Dla nas wystarczy jaki alkierz albo i komora.

Kachna i Marysia, zaskoczone zniemacka tak wspaniałym tytułem danym królownie, parsknęły głośnym śmiechem.

— Cóż to za chichoty waćpanny wyprawiacie? — krzyknął krajczy marszcząc brwi groźnie. — Jej miłość posługi wyczekuje, a wy tu się będziecie gziły! No dalej, porozpinać tłumoki, dobyć z tobołów, co trzeba, łóżko posłać pięknie, od czego jesteście? Niech gospodarz wskaże najlepsze izby.

— Mam, a jakże, mam dwie komnateczki obszerne.

— Zabieramy obie. A łóżka wygodne są?

— A jakże, są łóżeczka, prawdziwie najmiłsze. Sianka się przyniesie, ile duszyczka zapragnie, ani na łabędzim puchu nie tak miękko dla zmęczonych kosteczek.

— Co? Jak powiadacie? Siano?

— Juźci, nie wióry ani trzaski, ino sianeczko woniejące, tegoroczne.

— Musicie dać łóżko, choć jedno, byle dla naszej pani.

— Dam, dam z wyskokiem, ino w całym domeczku jednego łóżeczka nie uświadczy. My tu po chamsku na piecu sypiamy.

— Niechże się wasza miłość nie trapi! — śmiejąc się z rozpaczliwej miny Kumelskiego zawołała królowna. — Prześpimy się na sianie smaczniej niż niejeden król na złocistym łożu. Poduszki są, ciepłe przykrycie jest, czegoż nam więcej trzeba?

— No, a cóż, można mieć na wieczerę? — pytał dalej krajczy, krzywiąc się jak po occie.

— Wszystko jest; ino wasza miłość rozkaże, już będzie na stole.

— Bogu dzięki, że choć z tym nie ma kłopotu. Zróbcie kaczki Pieczone albo lepiej w potrawie z polewką i kasza jęczmienna do tego.

— Pańskie jadło, ani słowa; ino że kaczusiów dziś nie mam. Właśnie moja ostatnie cztery wyniosła na jarmark.

— No, to kurczęta.

— A jakże, a jakże, jakbyś wasza miłość na własne oczy widział! Są kurczęta, siedemnaścioro ich mam, właśnie wczoraj się wylęły.

— O ty, Judaszu, zdrajco! Śmiesz dworować sobie ze mnie

— Jako żywo, przenigdy! Sami się przekonajcie: pisklęta żółciuchne siedzą w sicie na przypiecku razem z kwoką.

— Idź waść do diabła, bo ci gnaty połamię! Stój... czeka, Uwarz polewki piwnej choćby garniec, ale duchem!

— W te pędy! Migiem!... Ogieniek aż huczy, polanka trzaskają, będzie wnet. Dawaj wasza miłość ino piwko, twarożek i śmietaną, a za jeden pacierz poleweczka gotowa.

Kumelski opadł ciężko na ławę, aż go zemdlilo ze złości.

— Wynoś mi się, trutniu... niech cię moje oczy nie widzą! Pani Marcinowa, dobądźcie co z waszych kosztów i zagrzejcie Chciałem zaoszczędzić naszego mięsiwa i wędlin na czarną godzinę, a tu masz, czarna godzina od razu na pierwszym noclegu

Kręcicki Pazzo, charcik królowny, wybiegł za umykającym panem Mikołajem do sieni, stamtąd na podwórko, zoczył kota na ławce przy stajni; czyż podobna na taki widok ustać spokojnie?

Pazzo dał susa, kot dał dwa susy. Pazzo za nim, kot ni drzewo...

Krysia niespokojna, gdzie się piesek podział, wyrzała przez nie domknięte drzwi... nie ma Pazzusia. Krok dalej, dwa, trzy kroki...

— Pazzo, Pazzo! Gdzieś ty? Pazzo, szkaradniku!... Oho, już gwiazdeczka mruga na niebie. Pazzo! Wracaj zaraz!

Jakaś postać wysuwa się zza węgła, silne ramiona unoszą dziecko jak piórko.

— Maryyyysiu! — krzyknęła Krysia, lecz w tej samej chwili jakaś twarda dłoń przycisnęła jej usteczka, ktoś zarzucił jej grubą płachtę na głowę, ktoś zaczął biec pędem.

Ale malutki Pazzo usłyszał wołanie swej przyjaciółki... rzucił się za czarnym cieniem ku wrotom, ujadając, ile sił miał w gardziółku, piskliwym, przeraźliwym głosem. Nareszcie dopadł uciekającej postaci, chwycił ząbkami za nogę, uderzył mięsa, aż mu krew na pyszczek trysnęła, skoczył znów, jakby sprężyną podrzuty, złapał za rękę i zawisł jak pijawka, wgryzając się coraz mocniej. Czarna postać biegła kulejąc naprzód a naprzód, ku lasowi...

Pies karczarza, na szczęście już spuszczonej z łańcucha, usłyszał wrzaskliwe ujadanie i porwał się nie znanemu bratu z pomocą. Zabiegł drogę uciekającemu cieniowi, potężne kły wiejskiego kundla wpiły się w jakieś ciało... krzyk bólu i przerażenia przeszył powietrze, pokrwawione ręce puściły zdobycz, Krysia upadła na ziemię jak martwa.

Pies karczarza zrozumiał, że bitwa wygrana, nie gonił za czarną zmorą, tylko słuchał z ciekawością i oburzeniem, co mu Pazzoś, skomląc i poszczekując, opowiadał o strasznej przygodzie.

A w izbie gościnnej Kachna z Marysią nakrywały stół do wieczerzy; Marcinowa odgrzewała zraziki z kaszą, królowna siedziała na ławie i głowę oparłszy o ścianę, drzemała.

Nagle drgnęła.

— Słyszycie, dzieci?... Pazzo szczeka, ujada, skomli... ach, co mu się stało? Nóżkę złamał?... A może go koń kopnął?

— Jezus, Maria! — krzyknęła Marysia nieludzkim głosem. — A dziecko gdzie?

I wyciągnąwszy przed siebie ręce, rzuciła się jak obłąkana ku drzwiom. Kachna wybiegła za nią.

W ciemności nie wiedziały, gdzie się zwrócić, aż tu ochryple od nadmiernego wrzasku poszczekiwanie Pazzo doleciało ich uszu. Potykając się i zapadając w błoto, szły dobry kawał, aż w szczerze pole.

Znalazły.

Krysi na szczęście nic się nie stało, nawet jej przestkach nie zaszkodził, choć długo była zemdlna i nie obudziła się aż na rękach Marysi. Nie wiedziała o niczym i nie umiała powiedzieć, co ją spotkało.

— Ktoś mi buzię zatkał i chustkę na głowę zarzucił... — oto było wszystko, co zapamiętała.

— A co? — tryumfowała Marcinowa. — Gadałam, że ta obmierzła baba wciąż za nami jedzie. Ale pan Kumelski ino śmichy wyprawiał, że mi się czarownice zwidują. Może wasza miłość powiedzieć, że nie było wózka na każdym popasie? Może powiedzieć, hę?

— A pani Marcinowa może powiedzieć, że to był ten sam wózek, co w Mszczonowie?

— Ii... co z wami gadać, szkoda mojej złości. Idź, wasza miłość na wieczerzę, bo zrazy wystygną.

Nazajutrz wyruszyli w dalszą drogę i stanęli wieczorem w Częstochowie. Królowna posłała Kumelskiego do klasztoru z zamówieniem nabożeństwa przed cudownym obrazem i wszyscy, nie wyłączając Krysi, udali się rano na Jasną Górę. Anna Jagiellonka słuchała całej mszy klęcząc, zatopiona w modlitwie. Prosiła Królownę nieba i ziemi o łaskę i opiekę w swym osieroceniu, prosiła o wieczny w Bogu spoczynek dla najdroższego brata, o pomyślne panowanie dla nowego króla, o błogosławieństwo dla umiłowanej ojczyzny, o pohańbienie jej wrogów, a w końcu wyszeptwała nieśmiała prośbę o kruszynę szczęścia dla siebie, choć teraz, na jesień życia.

Przeor zaprosił jej królewską miłość z całym dworem do klasztoru; dziewczęta pośniadawszy w refektarzu, dla znamienitych gości przeznaczonym, skorzystały z pozwolenia i wybiegły między kramy popatrzeć na krasne wstążeczki, paciorki, może kupić sobie jaką pamiątkę ze świętego miejsca. Poważna Kasia oglądała różańce i szkaplerze, wypytywała przekupniów o przywiązane do medalików odpusty; Krysia ciągnęła swą opiekunkę w inną stronę, do kramów z lalczkami, drewnianymi konikami, barankami, bo i zabawek pełno było w tych przenośnych sklepikach stawianych u stóp Jasnej Góry w każde święto odpustowe. A oktawa Bożego Narodzenia liczyła się właśnie do takich dni uroczystych.

— Ach, Maryś, Maryś... co za śliczna krowisia! Daruj mi ją!

— Jakoż ci ją daruję, kiedy nie mam pieniędzy. A darmo przecie nie dadzą.

— Dlaczego nie dadzą? Aha, bo już jesteś bardzo ogromna, to ci się zabawki nie należą. Powiedz, że to dla mnie.

— Bez zapłaty nikomu nie dadzą, a ci powtarzam, że ani denara* nie mam w kieszeni.

— Jeżeli wasza miłość zechce zaprowadzić swoją siostrzyczkę kilka kroków dalej, to ja znam takiego kupca zgodnego — odezwał się za ich plecami głos jakiś szepleniący — bardzo zgodnego kupca; da kukiełeczkę i wózek, i kolebkę, i co ino paniątko zażąda, a po zapłatę przyjdzie później do waszego domu.

Dziewczyna obejrzała się. Tuż za nią stał dziad w podartych łachmanach, z siwiejącą brodą i wskazywał palcem na dalsze kramy. Śmiał się do Krysi, przy czym wyszczerzał brzydkie zęby. Na samym przedzie brakowało mu dwóch, z tego powodu mówił sycząco i niewyraźnie.

— No, Marysiu, Marysieńko, śliczna, jedyna, kupisz?

— Nie kupię, bo i w domu nie mam grosika, a jej miłości nie będę przecież nudziła dla twoich zachcianek.

— Widzisz, ja cię tak okrutnie miłuję, a tyś taka niedobra!

— Niech panieneczki pójdą choć popatrzeć; cudne bawidelka — mruczał dziad.

— Choć popatrzeć, choć okiem rzucić!

— No, daj rękę, mitrego nieznośna, pójdziemy. Cóż ci za uciecha z poglądania? A daleko to? Bo my nie mamy czasu; pani wróci z klasztoru, będzie się gniewała.

— Nie, nie, bliziotko, za czwartym kramem.

Przeminęli czwarty i piąty, już się z dwóch szeregów namiotów zrobił jeden, coraz rzadziej stały kramy, coraz uboższe; ostatni przytykał do wąskiej uliczki, zabudowanej nędznymi, na wpół rozwalonymi domkami.

Dziewczynę coś tknęło, rzuciła podejrzliwe spojrzenie na dziada i zagadnęła go ostro:

— Gdzie te lalki? Gdzie te bawidelka? Mówiłam, że nie mam czasu, a wy nas wiedziecie gdzieś na koniec świata.

— Zaraz, zaraz, ot, ino dwa kroki...

Znienacka porwał Krysię za drugą rączkę i szarpnął silnie ku sobie. Ale i Marysia, przecuciem wiedziona, miała się na bacności; w jednej chwili pojęła, co jej grozi; objęła dziecko wpół i przysiadła na ziemi krzycząc, ile sił miała w gardle. Dziad usiłował wydrzeć jej Krysię.

Z najbliższego kramu wybiegł chłop, z drugiego baba, kupi jacy i przechodnie rzucili się w stronę, skąd krzyk usłyszeli znaleźli młodą dziewczynę, ściskającą kurczowo kilkoletnie dziecko i... nic więcej. Dziad znikł, jakby się zapadł w ziemię.

Gdy się królewna dowiedziała o tej nowej przygodzie Krysi, upewniła się w swych domysłach, że dziewczynka jest wielkiej rodu potomkiem i że dla jakichś nie znanych przyczyn ktoś możny czyha na jej zgubę. Wydała przeto surowe rozporządzenie, by od tej

* D e n a r — dawny drobny pieniądz polski.

pory, gdziekolwiek by to było, w Warszawie, Krakowie lub gdzie indziej, Krysia nigdy, przenigdy nie wychodziła z domu inaczej, tylko pod opieką przynajmniej dwóch osób.

W Lublinie oczekiwała Anna Jagiellonka na kondukt pogrzebowy blisko miesiąc; bowiem zawiadomił ją ksiądz biskup krakowski, że najmiłościwszy król Henryk wkroczy w granice Polski, jak się spodziewają, w lutym, a złożenie zwłok do grobu nastąpić ma wtedy, gdy nowy pan postawi stopę na polskiej ziemi. Przeto z uroczystością wielką wyruszył orszak żałobny z Warszawy dnia 30 stycznia 1574, a 11 lutego mury stolicy przyjęły ostatniego z Jagiellonów powracającego na wieczny spoczynek w podziemiach wawelskich.

Na trzy dni przed pogrzebem odprawiono żałobne nabożeństwo po wszystkich kościołach krakowskich. Trumnę pozłocistą, przy krytą czarnym aksamitem, który spływał aż do ziemi, więziom przez miasto z większą jeszcze okazałością niż w Warszawie, Wniesiono ją na marach do katedry i ustawiono na dwunastostopniowym wzniesieniu naprzeciw wielkiego ołtarza.

Henryk Walezjusz i wszyscy monarchowie Europy przysłali posłów w swym zastępstwie. Posłowie niemiecki i francuski wprowadzili infantkę Annę do kościoła, usiadła po prawej stronie ołtarza. Biskup krakowski odprawił egzekwie*.

Podano posłowi niemieckiemu hełm zmarłego króla, francuskiemu tarczę, węgierskiemu miecz, a szwedzkiemu włócznię, ci zaś przystąpili przed mary i rzucili o ziemię te bronie. Potem Jerzy Mniszek, krajczy koronny, cały w zbroję zakuty, a mający przedstawiać osobę zmarłego króla, wjechał konno do kościoła. i zapadł się wraz z koniem do ziemi. Wojewoda krakowski i marszałek wielki koronny Jan Firlej złamał o ziemię laskę marszałkowską, a kanclerz Dębiński skruszył pieczęcie.

Po tych ceremoniach spuszczo trumnę do grobu i ustawiono po lewicy ojca.

* E g z e k w i e — część nabożeństwa żałobnego.

ROZDZIAŁ III

Anna Jagiellonka zamieszkała w zamku, w komnatach śp. królowej Elżbiety, jak sobie tego życzyła. Podstoli Kroczewski, zjechawszy z częścią dworu na dwa miesiące przed jej miłością, robił, co mógł, by mieszkanie to odświeżyć, a przynajmniej do jakiegoś porządku doprowadzić, tak było długoletnim zamknięciem zatęchłe, brudne i opustoszałe. Jedwabne obicia zbutwiały z biegiem czasu i zwisały w strzępach ze ścian. Stropy złożone poczerniały, posadzki, zasute trzydziestoletnim kurzem, robiły wrażenie klepiska. Wielu szybek w oknach brakowało, zastąpiono je grubymi błonami, a gdzieniegdzie nawet szmatkami.

Apartamenta miłościwego pana z gruntu odnowione, zbytkowymi sprzętami a zwierciadłami zdobne, drogocennymi makatami przybrane, kobiercami wschodnimi zasłane czekały przybycia francuskiego księcia; cztery komnaty dla infantki wołały zmiłowania. Lecz pan podskarbi zwlekał z wypłatą skromnej kwoty, żądanej w imieniu jej miłości przez p. Kroczewskiego: dla królowej Anny skarb nigdy nie miał pieniędzy. Wreszcie rzucono coś, jak z łaski, i można było przynajmniej pomyć podłogi, zaszkląć okna i tanim, półjedwabnym adamaszkiem wykleić ściany. Stolarze odpoliturowali drewniane sprzęty. Kobierczyków, przywiezionych na szczęście z Warszawy, nie brakło, dość że cichą, małych wymagań panią zadowolilo to wcale nie książęce mieszkanko.

— Ot, jużem w swoim rodzonym gnieździe... — rzekła Anna do ochmistrzyni wyglądając oknem na miasto. — Dawno, okrutnie dawno nie byłam w Krakowie; teraz przyjdzie chyba dłużej tu zamieszkać.

— A może i na zawsze pozostać... — odpowiedziała nisko dygając pani Świdnicka ze znaczącym uśmiechem.

— Mylne widzą mi się domysły waszej miłości; król Henryk młodszy ode mnie.

„Ino dwadzieścia siedem latek” — pomyślała pani Świdnicka, a głośno wykrzyknęła:

— Co też za trefna żartownisia z waszej królewskiej miłości! Chyba najjaśniejszemu panu Bóg rozumu nie poskapił: nie będzie on patrzył na lata, ino na osobę a na zaszczyt niezmierny poślubienia ostatniej latorośli z przesławnego rodu Jagiellonów.

Anna Jagiellonka potrząsnęła głową smutnie.

— Ani ja na to liczę, ani o tym chcę myśleć. Jakże wasze miłości rozgospodarowałyście się w onych małych izdebkach? Przykro mi, że takie ciasne macie pomieszczenie. Ale cóż robić, moje komnaty również ani bogate, ani przestronne.

— Niechże się miłościwa pani nami nie trapi! Jesteśmy bliżuchno pod ręką, na każde zawołanie, a to najważniejsze; kraj—czy i podstoli aż we wschodnim skrzydle na dole, a i oni przybiegną każdej chwili na wasze skinienie. A czy słyszała wasza miłość, że król jegomość ma dzisiaj nocować w Rabsztyńskim zamku? Starosta Bonar z wielkim sumptem* go przyjmuje. Jutro zjeżdża do Balic, gdzie nań czeka wojewoda Firlej i insze senatory.

— No, to lada chwila i my go ujrzymy.

Dnia 16 lutego już wcześniej z rana zaczęły się ukazywać większe i mniejsze orszaki dworzan i służby królewskiej na przedmiejskich ulicach Krakowa. Ku południowi się miało, gdy popłynął szeroki, barwny strumień przez Bramę Floriańską w ulice i w Rynek.

Pięknym szykiem i porządkiem zaczęły wjeżdżać zbrojne oddziały.

W oknach domów zaroilo się od głów niewieścich. Młode dziewczęta wychylały się, jak mogły najbardziej, wyciągały szyjki, by pierwiej dojrzeć i jak najdłużej oglądać tak ciekawe, od niepamiętnych czasów niebywałe widowisko. Starsze kobiety niby to bawiły się gawędką w komnatach, ale na każdy głośny okrzyk podziwu czy zachwyty podsuwały się do okien i wyzierały ponad głowy swych córek z nie mniejszym od młodych zajęciem.

* S u m p t — nakład, koszt.

A na dole tłumy ludu, z trudem utrzymywane w jakiej takiej karności przez straż miejską i halabardników, tłoczyły się podwójnym murem, zostawiając z musu wolne przejście hufcom.

Samych żołnierzy pancernych, na rosłych, olbrzymiej siły rumakach, było półtora tysiąca. Postępowali trójkami, proporce mieli różnobarwne, złotem i srebrem malowane, konie rotmistrzów były okryte siatką złotą lub srebrną, inne blachami zdobnymi w drogie kamienie. To znów czapraki jedwabne,, kunsztownie haftowane, klejnotami przetykane. Strzemiona, wędzidła, zamiast uzd łańcuchy, wszystko było szczerozłote, a przynajmniej srebrne. Na łbach końskich kity z białych piór. Słowem, było się czemu napatrzeć, choćby tylko rumaki podziwiając.

Gdy przeminęli pancerni, ukazał się oddział janczarów z turecka przybranych, dalej trębacze i znowu oddziały wojska, z muzyką na czele, sprawnie i do taktu, a ciągle trójkami. Niektóre chorągwie liczyły po sześciuset ludzi.

— O matusiu... o chrzestna matko... prędzej, prędzej, na Boga! — krzyknęła Zośka Danigielówna, córka rajcy miejskiego i właściciela kamienicy Pod Jastrzębiem. — Ady spieszcie się... wilcy jadą!

— Cóż za koszałki opalki! Ludzi wilkami robisz?

— No, patrzcie sami, jak się przystroili; czymże ich nazwać, jak nie wilkami?

— Sprawiedliwie dziecko gada — stanęła w obronie swej chrześnicy pani Bonarowa, synowa starosty. — Przyjrzyjcie się baczenie, co za błazeństwa kunsztowne: na końskiej głowie umocowany wilczy łeb, wedle szyi sterczą łapy, a cała skóra precz na żołnierzu położona, jeszcze i ogon mu się na ramieniu chybotce.

— Jak Balcera miłuję, prawda — przyznała kiwając głową pani Danigielowa. — A to im się pomysłów przebrało! Pogańskie zabawki, dzikie bestie ze siebie robić. I tyle tego! Chyba ze stu tych wilkołaków jedzie... straszne sądy Boskie!

— Ale za to ci, co teraz idą, piękni na podziw! O matusiu, matusiu... aże się serce do nich wrywa!

— Powiedz onemu, że głupie, niech się nie wrywa!

— Jadą, jadą, jadą, po trzech, tam ta ram, tam ta ram... adamaszek zielony, przez ramię łańcuch złoty, w ręku dzida z białym proporcem. Ach... znowu insi! Szkarłatno ubrani, z zapuszczonymi przyłbicami! A konie... jak to nóżkami przebiegają, z drobniachna, niczym panienki w tańcu. Tu znowu Tatarowie jacyś... niechby prędzej przeminęli, bo tam z bramy coś okrutnie cudnego zbliża się ku nam. Niechże pani matka sami patrzą, bo znowu będą przyganiali, zem zelgała. Dziwolągi jakieś albo diabły, albo zamorskie bydlę czy co takiego?

Zbita ciżba ludu parła ku środkowi ulicy, nie pomogły gęste razy wymierzane szczerze przez ceklarzy* na wszystkie strony, wolna przestrzeń wzdłuż ulicy zwężała się znacznie, nowe oddziały przesuwwały się z trudnością.

Kompania strojna i konie dzielne, ale o to mniejsza, takich i piękniejszych już dwadzieścia przejechało; nie żołnierzy lud okrzykami przyjmuje. Dwóch pachotków w modrych kubrakach L czerwonymi pasami prowadziło luzem jakieś cudaczne zwierzęta. Były to, co prawda, najzwyczajniejsze w świecie konie, ale przeinaczone do niepoznania. Jeden miał sierść pstrokatą, krętą i długawą jak u barana. Drugiemu przyprawiono u przednich łopatek skrzydła, do pyska dziób ogromny, zakrzywiony, do kopyt szpony. Można go było wziąć za jakiegoś hipogryfa* lub smoka.

Tłum nie posiadał się z radości. Klaskano w ręce, huczały przeraźliwe wrzaski, stary i młody zanosił się od śmiechu... A konie, prowadzone u pysków, stapały z dostojną powagą, co potęgowało jeszcze wesołość widzów poza wszelkie granice.

* C e k l a r z — pomocnik kata, pachotek miejski do wymierzania chłosty winnym; tu: pachotek miejski do pilnowania porządku.

* H i p o g r y f — bajeczny koń skrzydlaty, pegaz.

Szczęściem dwa potwory wkroczyły na Rynek, aby tam święcić nowe tryumfy, a od bramy posuwała się kompania, przybrana w czarny aksamit i na karych koniach. W innym dniu wyglądałoby to poważnie, nawet smutnie, ale dziś, po tak różnobarwnych, jaskrawych strojach, ten oddział czarnych żołnierzy był odpoczynkiem dla oczu, a przedstawiał się wielce wspaniale. Jako odszkodowanie za czarną barwę swych szat prowadzili przodem konia zaszytego w niedźwiedzią skórę.

Były roty przybrane z węgierska, inne z włoska, sześćdziesięciu dworzan pana Firleja w paśowym aksamicie, bramowanym sobolami, dalej dwór biskupa krakowskiego czarno ze złotem, trzystu rajterów* na doborowych fryzyjskich* koniach, kilkuset łuczników i jeszcze, i jeszcze, i ciągle nowe hufce wynurzały się spod sklepienia Floriańskiej Bramy. Aż tu, gdy gawieź uspokojona po niedawnych wybrykach już tylko półgłosem wyrażała pochwały przejeżdżającym wojskom, nowy okrzyk zachwytu i zdumienia popłynął falą aż ku Rynekowi: oto ukazali się rycerze z bajki! Na bułanych koniach o jasnych grzywach i jasnych długich ogonach — jechali piękni, młodzi, strojni w karmazynowy atłas, gęsto srebrem i złotem szyty. Za każdym jeźdźcem przymocowany do grzbietu wierzchowca rozpościerał skrzydła łabędź biały... Było tych rycerzy dwustu.

Za nimi postępowało stu lekkozbrojnych, koń i człowiek w lamparcich skórach. Aż się dziwowano, skąd wzięto tyle skór. tak rzadkich w owych czasach.

Krótki dzień zimowy miał się już ku schyłkowi, a coraz nowe rotę płynęły i płynęły jak rzeka. Mrok zapadał, gdy się pojawili dygnitarze Korony i Litwy i przedniejsi panowie z dworu królewskiego. Ich przejazd trwał dwie godziny.

Na ganku nad Bramą Floriańską, na murach miejskich i w Rynku płonęły smolne beczki. Było już koło ósmej, gdy wtem dano ognia ze wszystkich dział, jakie się w mieście znajdowały. Huk armat wstrząsnął murami... królewski rumak przestąpił wrota Bramy Floriańskiej.

Henryk Walezjusz jechał bardzo powoli, pod baldachimem, niesionym przez ośmiu rajców miejskich.

Serce pani Danigielowej zamierało z dumy i rozkoszy... toć jej Baltazar był jednym z ośmiu!

Z obu stron ulicy szła gwardia halabardników z pochodniami i strzelcy gaskońscy. Król miał na sobie ferezję* aksamitną, rysiami podbitą, bramowaną lamą srebrną; na głowie czapkę podobną, na której jarzyły się brylanty i szmaragdy.

Tłumy witały pana nie cichnącymi ani na chwilę okrzykami: „Niech żyje”, a on uśmiechał się blado i łaskawym skinieniem ręki odpowiadał.

Na Rynku krakowskim wzniesiono łuk triumfalny, na którym osadzony był z wielką sztuką orzeł biały, jako herb Rzeczypospolitej; na piersiach miał lilie francuskie. Gdy się król zbliżał, ów orzeł roztworzył skrzydła, jakby chciał lecieć na powitanie miłościwego pana. Pod orłem znajdowały się wiersze łacińskie następującej treści:

*Nasz Orle, ty wróżb rodzicielu w królestwie powietrznych skrzydlaczów,
Kwitnące na sercu twym dziś co wróżą Lilie te nam?
To wróżą, iż nasza Sarmacja pod królem Henrykiem zakwitnie!*

Niemal tuż za baldachimem jechało pięciu braci Zborowskich: Piotr, Jan, Andrzej, Krzysztof i Samuel. Posłowie francuscy mieli aż nadto sposobności, by zmiarkować, kto był podczas elekcji za Henrykiem, a kto przeciw. Powiadomili też młodego księcia, jeszcze zanim z Paryża wyjechał, że silnej partii Zborowskich zawdzięcza na pewne koronę. Gdyby ten ród

* Rajter lub rajtar — jeździec.

* Fryzyjskie konie — duże, ciężkie konie z północnych Niemiec,

* Ferezja — luźna, nie przepasana szata wierzchnia.

potężny ze swymi posłusznymi stronnikami chciał osadzić na tronie innego księcia, niezawodnie by tego dokazał.

Król był młody, lecz roztropny: umiał sobie ludzi jednać miłym obejściem; łagodność i uprzejmość jego była niemal przysłowiowa; gdy jeszcze chciał szczerze przywiązać kogo do siebie, łaskawe słowa miodem płynęły z ust jego. Wstępując na ziemię polską powitał Zborowskich niemal serdecznie, mówił z nimi poufale, jak z przyjaciółmi, nie jak z poddanymi. Piotrowi, najstarszemu z braci, dał do zrozumienia, że pragnie ich wszystkich mieć zawsze blisko siebie.

Bokiem ulicy, pomieszani z gwardią gaskońską, jechali dworzanie królewskiego orszaku... Było tam dwóch paziów kasztelanica Samuela, rękodajni wojewodów Piotra i Jana, giermek Andrzeja i pacholik Krzysztofa.

Jędrus Chwalibóg wypatrywał oczy na wspaniałości i bogactwa, których się tu na jeden dzień tyle zebrało, ile przez długie życie człowiek ani nawet we śnie nie zobaczy. Starszy od niego Michał Niemcewicz, ze świty Piotra Zborowskiego, pokpiwał z oszołomionej miny chłopca i droczył się z nim jak z dzieckiem; Jędrus obracał wszystko w śmiech albo odgryzał się, jak mógł.

— Jak ci się zda, Michał, miłościwy pan musi być srodze umęczony dzisiejszym dniem? Takie długie, nudne oracje w Rabsztynie, w Balicach i do Krakowa nim się dostał... ja, gdybym był królem, dawno bym konia wypuścił, aby co najrychlej do izby i do łóżka.

— Ano pewno; prawda twoja; inoś zabaczył, że prócz ceregieli z rycerstwem i uprzejmego poglądania na rozwrzeszczany motłoch musi nasz miłościwy pan jeszcze do katedry.

— Taak? Nie jutro rano?

— Ot, katolik, a dziwuje się. Wszak ci waszemu zabobonowi gwoli musi pokłęknać, tam i sam to pocałować jaką spróchniałą kość, ówdzie pokłonić się tej Pannie.

— Milcz, bezbożniku przeklęty! — syknął paź podsuwając pobladłą od gniewu twarz do dworzanina. — Jeszcze jedno słowo, a nie pytam na nijakiego króla, ino ci łeb rozwałę!

— Ciszej, ciszej, synku... pierwszej bym ja tobie gnaty pogruchotał, zanimbyś do mego łba się dobrał. To ci pchła czupurna dopiero! Pożartować z nim nie Iza, od razu kara.

— Dworuj sobie ze mnie,— ile wola, nic ci za to; ale od Paniienki Najświętszej wara!

— No, no, spokój... ludzie na nas patrzą. Kto cię tam wiedział, żeś taki zaciekły papista; mniemałem, że u pana kasztelanka w służbie dawno ci te baję wywietrzały z głowy.

— Znowu zaczynasz?

— No, nie; już nic nie gadam. A nie myśl przypadkiem, wróblu, żeś mnie przestraszył; w dwóch palcach zdusiłbym cię, dlatego mię twoje groźby śmieszają, nie gniewają.

Podjeżdżano pod wawelską górę; minięto most zwodzony, przed schodami katedry Henryk Walezjusz zsiadł z konia. Biskup krakowski w otoczeniu opatów i kanoników przyjął miłościwego pana, powitał go krótką oracją i znów pod baldachimem wprowadzono króla do kościoła. Organy brzmiały hucznie; kaplica Św. Stanisława na środku nawy głównej płonąła blaskiem tysiąca świec. Biskup warszawski oczekiwał przy ołtarzu na jego królewską miłość w kapie ze szczerozłotej lamy i infule św. Stanisława. Henryk Walezjusz wszedł za ogrodzenie, przykląkł na stopniu i pocałował relikwie świętego patrona Polski.

— A co, nie mówiłem? — mruknął zjadliwie Niemcewicz. Po krótkiej modlitwie, bez śpiewu i ostentacji, gdyż król uskarżał się na wielkie zmęczenie, wojewoda Firlej, starosta Bonar i dwaj Zborowscy zaprowadzili go do komnat.

— Najmiłościwszy pan rozkaże zapewne przywołać służbę i raczy się udać natychmiast na spoczynek? — spytał Firlej.

Król spojrział nań i westchnął:

— Nie; nie może to być; małą chwilkę zaczekawszy, muszę się przebrać i z wizytą do infantki. Proszę wysłać podkomorzego, by miłościwą królową zapytał, czy zechce mię przyjąć.

— Właściwie... dość czasu byłoby jutro... — nieśmiało doradzał Bonar.

— Nie, to byłoby niegrzecznie. A niegrzecznym być nie umiem i nie chcę.

Samuel Zborowski szepnął Firlejowi na ucho:

— Ja pójdę dać znać jej miłości o królewskich odwiedzinach; rad bym ją widział; zawsze wielce łaskawa dla mnie.

— Idź, wasza miłość, i owszem.

Kasztelanie wymknął się z komnaty, skinął ręką na pazia czekającego w antykamerze, wyszli na korytarz.

— Biegaj mi w te pędy na pokoje miłościwej królowy i ślij pazia do niej, zali raczy mnie przyjąć natychmiast w sprawie niezmiernej wagi. No, jeszcześ tu?

Jędrus chciał odpowiedzieć, że nie wie, gdzie mieszkanie jej miłości, ale przyznać się, że czegoś nie rozumie, że sobie nie umie dać rady, byłoby wstydem dla porządnego pazia. Kopnął się więc prosto przed siebie, aż biały kurz wzbił się za nim z podłogi. Pierwszego dworzanina, na którego się natknął, spytał o drogę i już biegł dalej, jakby u siebie w domu. W kilka minut wracał naprzeciw swego pana.

— Miłościwa królowna uprzejmie oczekuje waszej wielmożności.

— Idź przodem. Zaczekasz u drzwi.

Bytność pana Samuela ograniczyła się tylko do ucałowania ręki królowy i oznajmienia jej wizyty najjaśniejszego pana; za to Jędrus obrzucił komnatę ciekawym wzrokiem i uśmiechnął się.

Na ławie pod oknem siedziało czarnowłose dziewczątko z głębokimi jak noc oczyma, z dziecinną, wesołą buzią.

Spojrzeli na siebie.

Dziewczynka zesunęła się z ławki bez szmeru i popod ścianą, na paluszkach, zbliżyła się do drzwi.

— Jędrus...

— Krysia... — wyszeptali jednocześnie.

— Gdybym nie wiedział, żeś to ty, nigdy bym cię nie poznał... takeś urosła.

— Co? Naprawdę? Ogromnam?

— Niczym wielkolud; ażem się załakł.

— Proszę bardzo, nie dworuj sobie ze mnie... już kończę dziewięć lat!

— A ja skończyłem piętnaście.

— Przyjdiesz tu jeszcze?

— Pewno nie, ale i tak się zobaczymy w tych dniach. Ja cię będę upatrował między pannami jej miłości, a ty zapamiętaj barwę Zborowskich, to mię zawdy znajdziesz wpośród dworzan. Kukłami bawisz się jeszcze?

— A jakże, mam ich ze trzydzieści, a strojne!... Jako życie, nie będę miała takich aksamitowych sukienek ani takich złotych przepasek jak one.

— Będiesz mieć szaty ze złotogłowiu, a pasy diamentami sadzone...

— To dopiero! Jakimże cudem?

— Nijakim. Ino gdy dorosnę, pójdę na wojnę, łupu do dom przyniosę drogiego pełne skrzynie.

— Daj ci, Boże... ale cóż mi z tego przyjdzie?

— Co? Ożenię się z tobą i wszelakimi dobrociami cię obsypię. Ino czy mnie będziesz chciała?

— Nie mam ani braciszka, ani siostrzyczki; biednam sierotka,

— Alem cię okrutnie upodobał...

— I ja ciebie.

— Uciekaj... uciekaj... coby nas nie połajano.

Zborowski opuścił komnatę. Krysia schowała się w ciemny kącik za ławę. Dwaj śliczni paziowie stanęli po dwóch stronach rozwartych podwoi; marszałek dworu raz jeszcze oznajmił najjaśniejszego pana, król Henryk wszedł do komnaty.

Strojny był francuska modą w aksamitny, kusy ubiór z szeroką dokoła szyi krezą, z bufiastymi rękawami, ściągniętymi trzykrotnie złotą wstęgą i zakończonymi cieniutką koronką, opadającą na alabastrowobiałe, wypieszczone rączki. Ciemnopopielate, jedwabne trykoty przylegały do nóg jak oklejone. Safianowe trzewiki dopełniały ubioru. Lewą ręką przytrzymał brylantami sadzoną rękojeść szpady, prawą uchylał płaskiego beretu, kłaniając się z wykwintnym wdziękiem królowi.

Henryk Walezjusz, nie znający innych języków prócz francuskiego, pewny był, że mu przyjdzie posługiwać się tłumaczem; jednak nie darmo Anna Jagiellonka była córką niewiasty słynnej z uczoności; powitała króla swobodnie w jego ojczystej mowie, dziękując zarazem za wielką łaskę, jaką jej swym przybyciem okazał.

— Nie zaznałbym spokoju ni zadowolenia, póki bym nie spełnił najmilszego sercu obowiązku poznania najdosłojniejszej infantki — odpowiedział z nowym ukłonem.

Anna zarumieniła się aż po czoło i wskazała wysokie krzesło z oparciem.

— Jakoż się powiodła droga waszej królewskiej miłości? — spytała.

— Najpomyślniej i najdogodniej; a naród polski, począwszy od sfer najwyższych (nowy ukłon i wymowne spojrzenie) aż do pospólstwa ulicznego jest najsympatyczniejszym narodem w Europie. Serce moje oddaję Polakom bez podziału.

Oczy królowy zajaśniały jakby odblaskiem dawnej, uroczej młodości.

— Lecz co widzę?... Najmiłościwsza infantka w żałobnej szacie? Toż nie smutek nas czeka, śmiej się, ino pogodne dni po frasobliwych nastaną. Wysłuchajcie pierwszej prośby swego sługi, a da Bóg, w przyszłości najbliższej przyjaciela i przystrójcie się jasno, barwno, jako jasnej i słonecznej doli mi życzy. A może się mylę?

— Najmiłościwszy panie, od jutra nie ujrzycie mnie już w czerni, rada przyrzekam.

Król powstał.

— Gdyby nie późna godzina, przykrzyłbym się wasze j' miłości dłużej; odkładam do jutra i najbliższych dni ucieczę niewymowną przebywania z wami jak najczęściej.

Ucałował ręce infantki, złożył ukłon na dwa zawody*, pierwsza wizyta się skończyła.

— Pibrac!

— Słucham, najmiłościwszy panie!

— I cóż? Niepotrzebnie cię wodził ze sobą, polska królowa pięknie się wyraża w naszej mowie, obeszło się bez tłumacza.

— Jeszcze się stokrotnie przydam najjaśniejszemu panu. Król ziewnął.

— Pibrac!

— Słucham, najmiłościwszy panie!

— Przywołaj pokojowca, niech rrrrie rozbiera, sam nie odchodź. *À propos** ... Pibrac!

— Słucham, najmiłościwszy panie!

— Infantka?

— Infantka?

— Tkwieś przecież w komnacie jak tyka...

— Tkwieł, najjaśniejszy panie...

— No, więc?

— Nie wiem, o co raczycie pytać.

— Proszę cię, nie udawaj! Infantka?

— Bardzo... bardzo niemłoda, miłościwy panie.

* Złożył ukłon na dwa zawody (stp.) — ukłonił się dwa razy

* *À propos* (fr.) — przy sposobności, w związku, co się tyczy.

- Tak i mnie się zdaje. Dobranoc ci, Pibrac!
— Najlepszej nocy śmiem życzyć miłościwemu panu!

Dnia 21 lutego przed południem miała się odbyć koronacja. Całe prezbiterium* katedralne, zamknięte dla publiczności, przeznaczone było na pomieszczenie wysokiego duchowieństwa, senatu Rzeczypospolitej i posłów państw zaprzyjaźnionych z Polską.

W górnych stallach, na ławie najbliższej ołtarza, siedziała Anna Jagiellonka; po jej lewej ręce i dalej zajęły miejsca wojewodziny, kasztelanowe i innych dostojników żony. W przeciwległych stallach — najstarsi z duchowieństwa, na krzesłach pośrodku prezbiterium mieli zasiąść posłowie.

Dworzanie królewscy i inni tłoczyli się od strony zakrystii przy małych, okratowanych drzwiach, przeznaczonych na przejście dla księży, i tuż obok, przy sarkofagu Władysława Łokietka, ponad którym zajrzeć mogli do wnętrza prezbiterium, widzieć wielki ołtarz i wszystkie ciekawe ceremonie.

Z drugiej strony, w prawej nawie, taki sam ścisk, zagładania przez kratę, szepty, stękania gniecionych w tłoku, falowanie naprzód i wstecz tłumu, w miarę jak ktoś mocniejszy parł w tę lub ową stronę.

W maleńkiej ławeczce na dwie osoby, tuż przy kracie, siedziała Marysia Krupska ze swą najdroższą Krysią. Zdobyła to miejsce wczesnym rankiem, gdyż miłościwa królowa zwolniła ją od posług, domyślając się w dobroci serca, jak pilno było dziewczętom wyszukać sobie kącik wygodny, a przynajmniej dość bliski dla oglądania wspaniałego widowiska.

Około dziesiątej rano głośny szmer, odgłos kroków, z chóru kościelnego zagrzmiały organy potężnymi dźwiękami koronacyjnego marsza; straż honorowa złożona z młodzieńców pierwszych rodzin utrzymywała szpaler; przez wąskie przejście koło kaplicy Św. Stanisława szedł król. Kroczył z podniesioną głową i lekko zmarszczonymi brwiami. Asystowali mu posłowie francuscy i zagraniczni.

Król, przybrany w kapę biskupią srebrem i perłami szyta, w czapkę aksamitną, dosłownie zasypaną drogimi kamieniami, ukląkł na klęczniku u stóp wielkiego ołtarza i zasłoniwszy twarz rękoma trwał tak podczas całej mszy śpiewanej, którą odprawił biskup krakowski, ksiądz Krasiński.

— Czy wasza miłość nie widzi, że tu już kamień, szczyry mur? — szepnęła zgryźliwie zażywna jakaś niewiasta. — Pcha i pcha, gdzież się umknę? Wždy na ścianę jak mucha nie poleże! Stójże, wasze, spokojnie, gdy politycznie gadam!

— Ja zaś politycznie odpowiadam, że białogłowy, co wszereż na siagi* dają się mierzyć, lepiej by doma wczasu zażywały miasto parkan czynić oczom ludzkim.

— Prostackom też nie miejsce na królewskiej koronacji... — odcięła baba.

— Spokój, spokój! A to co za wrzawy? Cisza ma być jak makiem siał — wdał się w sprzeczkę kościelny doglądający porządku, uderzając halabardą o ziemię.

Umilkli.

W ławeczce przy kracie szeptała Krysią do ucha swej przyjaciółki:

— Maryś... widzisz ty?

— Co takiego?

— A tam... naprzeciwko nas... po drugiej stronie...

— Cóż tam ma być?

— Jakże! Jędrus stoi.

— Jaki Jędrus?

— Ee... no, mój Jędrus i dość. Zawołam go.

* Prezbiterium — odgradzona balustradą część kościoła, gdzie znajduje się ołtarz i chór dla kleryków.

* Siąg albo sążeń — dawna miara długości równająca się, ok. 180 cm.

— Ani mi się waź! Miej rozum... taka duża dziewczyna! Nie słyszałaś, jak kościelny swarzył?

— Ano, to ino ręką na niego kiwnę.

— Nie wolno.

— A czemu? Powiedział, że mnie będzie upatrował. Ot, niech się wstyda, żem go pierwsza zobaczyła.

I zbliżywszy buzię do kraty, wysunęła rączkę przez szczeble i nuż wywijać nią w prawo i w lewo, aż poseł siedmiogrodzki, siedzący najbliższej tych drzwi, spostrzegł jej manewra i zamiast patrzeć na księdza biskupa przy ołtarzu, z wielkim uweseleniem poglądał na czarnuszkę.

— Aha... uwidział mnie! — pisnęła, zapominając o strasznej, drewnianej halabardzie.

— Cicho, Krysiu, bo cię wyprowadzę precz... rozumiesz? Jędrusia jakby ktoś żgnął oszczepem: Krysia nań miga, a tu ciżba, ani w tył, ani naprzód.

— O rany... Paweł... Szymek... poratujcie mnie! — jęknął zamierającym głosem do rękodajnych wojewody Piotra. — Mdli mnie tak, że omal nie padnę.

— A to z czego? — spytali ze współczuciem.

— Jeszczem dziś kruszyny chleba nie miał w gębie... takie coś czarne lata mi przed oczyma...

Chłopcy rozparli się łokciami szepcząc wszystkim otaczającym, że paż kasztelanica krakowskiego zesłał, i jakoś zrobiło się przejście, wyslizgnął się na swobodniejszą przestrzeń. Ale zamiast się kierować ku głównym drzwiom, obszedł wcale szpar — kim krokiem dokoła bocznych naw, dał nura głowa naprzód, między kiereje* i jupki*... no i wyrósł jak świeczka tuż przy Marysinej ławce.

— O rety... jakżeś się tak snadnie wydobył z tłoku? — szeptała Krysia z uwielbieniem.

Pochylił głowę do jej ucha.

— Omal nie zelgałem przez ciebie — odszepnął. — Powiedziałem, że chleba dziś w gębie nie miałem, że mnie słabość chwyta... Ale o pszennej bułce z kiełbasą, com ją zmachał przed godziną, tom ani pisał.

— Skłamałeś, skłamałeś, jeszcze się wykręcasz!

— No, to czego palcem kiwasz? Jam jest rycerz bez trwogi, a tyś moja dama. Na twoje skinienie w ogień a w wodę!

— Et... głupstwa pleciesz, ni w pięć, ni w dziewięć. Patrzyłybys lepiej, co oni tam z miłościwym królem wyprawiają.

Właśnie po *ite, missa est** odwrócił się ksiądz biskup i opierając się lewą ręką na pastorałe, prawą uczynił znak krzyża w powietrzu. Diakonowie* zdjęli zeń ornat, a nałożyli złocistą kapę. Za czym powstał z podwyższonego krzesła prymas, arcybiskup gnieźnieński, przywdział bogate liturgiczne szaty, król wszedł na najwyższy stopień i ukląkł przed ołtarzem, gdzie przy wielu uroczystych obrzędach został namaszczone świętymi olejami przez prymasa w asystencji biskupa krakowskiego. W czasie czytania odpowiedniej do ceremonii ewangelii król trzymał w ręku Szczerbiec*, a po skończeniu dotknął nim lewego ramienia i schował do pochwy. Czterech najstarszych wojewodów trzymało insygnia królewskie*, a piąty statut państwa.

* K i e r e j a — burka futrem podbita.

* J u p k a, l u b j u b k a — ciepły kaftan, szuba.

* *I t e m i s s a e s t* (lac.) — idźcie, msza skończona.

* D i a k o n — duchowny mający święcenia o stopień niższe od kapłańskich.

* S z c z e r b i e c — miecz koronacyjny królów polskich, wg legendy miecz Chrobrego, faktycznie pochodzący z XIII w., przy koronacji użyty po raz pierwszy przez Władysława Łokietka.

* I n s y g n i a k r ó l e w s k i e — korona, jabłko i berło jako oznaki godności i władzy królewskiej.

Gdy już król miał w rękę berło i jabłko, a wojewoda krakowski podał arcybiskupowi gnieźnieńskiemu koronę, kanclerz wielki koronny spytał głosem ludu, czy jest jego wola, by księżę francuski, Henryk Walezjusz, był koronowany.

Minuta ciszy... Przez trzy nawy kościelne przeleciał jakby szum wichru, dano umówiony znak tysięcznym zastępom na zamkowym podwórzcu i na stokach Wawelu i nagle olbrzymi chór głosów zawołał: „Niech żyje król Henryk!” „Niech żyje nasz pan!”

Po odśpiewaniu przepisanych przy koronacji hymnów król zasiadł na tronie po prawicy ołtarza, w koronie na głowie, i pasował kilkunastu szlachty na rycerzy.

Mimo gwardii torującej drogę, mimo że odległość z kościoła do komnat królewskich wynosi zaledwie kilkadziesiąt kroków, przeminęła godzina, zanim się miłościwy pan dostał do pałacu.

Rozproszone po całym kościele dworki królowej Anny skupiły się przy końcu nabożeństwa u bocznych drzwi, prowadzących wprost na podwórze pałacowe, bo wiedziały, że jej miłość nie lubi zgietku ani głośnych powitalnych okrzyków i zazwyczaj tędy krótszą drogą wraca.

Gdy miłościwy pan, dwór i jego senat zmierzali do głównych drzwi, znaczonej cyfrą Kazimierza Wielkiego, Anna Jagiellonka, pożegnawszy łaskawie wszystkie panie, ujęła pod rękę rówieśnicę swą i przyjaciółkę, kasztelanową Zborowską, i szepnęła:

— Pójdź, wasza miłość, do mnie... tyle mamy do pomówienia,, tak rzadko się widzimy, stęskniłam się za wami.

— Skwapliwie korzystam z łaski waszej królewskiej miłości — odpowiedziała pani Zborowska pochylając się, aby pocałować rękę królowej.

Wyszły do przedsionka, za nimi panny dworskie.

— No, Baśka! Lecisz na mnie; dobrze, com się klamki chwyciła, byłabym runęła jak długa — burknęła Ewunia.

— Cóż ja winna, zem się potknęła?

— Oj, ty... czerwoną kredą zapisać to święto, gdzie byś się nie okaleczyła albo czego nie stłukła.

Marysia wychodziła z kościoła ostatnia ze szczebioczącą Krysią. Nagle dziewczynka wydała jakiś przykry, zdławiony krzyk, chwyciła swą towarzyszkę oburącz za spódnice i biegnąc co sił, ciągnęła ją za sobą ku pałacowi.

— Co wyrabiasz? Co cię gna? — z gniewem ofuknęła ją Marysia. — Takaś dziś niegrzeczna i nieznośna, jakby cię co urzekło.

— Chodź, chodź, ino prędko, prędko uciekajmy! Wskoczyły do sieni, na schody, wpadły do swej izdebki; Krysią wyjrzała za drzwi, zawarła je i zasunęła na skobel.

— Powiesz czy nie, co cię za mucha ujadła, szkaradne dziecko?

— O Maryś, Maryś... ten dziad z Częstochowy... ten bez zęba,, ten, co mnie chciał porwać.

— Przyśnił ci się? Czy co takiego?

— Ależ... w kruchcie siedział! A patrzył na mnie, patrzył... o Jezu!

— Widziałś go naprawdę?

— Oj, widziałam! Już on tu pewno po mnie przyszedł...

— Nie bójże się, bo nie ma czego. Łazi sobie dziadostwo po odpustach, to i do Krakowa zaszedł. Ani mu w głowie było, że cię tu napotka.

— O, nie, Maryś, nie! Szukał mnie poty, aż znalazł. Po cóż by mnie wtedy chciał porwać?

— Kto go tam wie; może cię chciał żebractwa przyuczyć, a może jakim wędrownym błaznom przedać...

Marysia kłamała, by ją uspokoić, pewna była bowiem, że stary żebrak natrafił na ślad dziecka i wcale nie bez celu wkręcił się aż na zamek.

Krysią płakała cichutko.

— Czekażcie, nie płacz; pobiegnę do pana krajczego, poproszę go, by kazał dziada przytrzymać. Jak posiedzi w ciemnicy o chlebie i wodzie, to wyśpiewa, z czyjego rozkazaniaszlakuje za tobą. Ostań tu i bądź spokojna.

— Za nic w świecie nie ostanę! Z każdego kąta pogląda na mnie... pod ławą leży... przez okno zaziera... już on mnie chyci, chyci, zobaczysz!

— No, to pójdziemy razem. W komnatach miłościwej pani chyba go nie będzie.

Dowiedziawszy się z opowiadania dziewcząt o pojawieniu się podejrzanego dziada, Kumelski wysłał czterech pachółków, by przeszukali kościół i obie kruchty i zaraz żebraka przyprowadzili. Nie znaleźli go nigdzie, wpadł jak kamień w wodę.

Na Rynku, naprzeciw wylotu ulicy Brackiej, czyli w miejscu uświęconym wielowiekową tradycją, ustawiono w dniu 23 lutego kilkustopniową trybunę obitą karmazynowym suknem, na niej tron cały pokryty ciężkim jedwabnym adamaszkiem i takież sam ponad tronem baldachim. Pogoda sprzyjała, niewielki mroziak wysuszył błoto, na bladym, zimowym niebie goniły się z rzadka obłoczki.

Znowu żądne widowiska tłumy zaległy szeroki plac dokoła trybuny i całą ulicę Grodzką, aż po Wawel.

Z uderzeniem godziny jedenastej orszak królewski zaczął zstępować z góry zamkowej. Ceklarze gęsto ustawieni podwójnym szpalerem, od Wawelu aż po tron na Rynku, strzegli porządku.

Jak w dniu wjazdu królewskiego, tak i dziś witano miłościwego pana z niezmiernym zapalem i serdecznością, a on — tak samo jak przed tygodniem albo szczerzej jeszcze — rzucał ludowi łaskawe uśmiechy.

Stanęli na miejscu, król wstąpił na podwyższenie i zasiadł na tronie. Za czym heroldowie otrąbili na cztery strony świata, że miłościwy pan raczy przyjmować przysięgę wierności wszystkich stanów Rzeczypospolitej.

Wszedł na trybunę arcybiskup gnieźnieński z biskupem krakowskim, warszawskim, lwowskim i wileńskim, pokłonili się nisko i w imieniu całego duchowieństwa polskiego złożyli hołd wierności. Dalej przysięgali wojewodowie wszystkich krajów koronnych. Przedstawiciele rycerstwa uczynili to samo. Po nich przystąpił burmistrz miasta Krakowa, jako głowa miasta, z dwoma rajcami, przedstawiającymi stan kupiecki, przykląkł u stóp tronu i powitawszy króla krótką przemową, złożył przysięgę. Następnie skinął ręką, czterej pachółkowie miejscy wnieśli z trudem skrzynię dębową, kunsztownie na rogach i bokach srebrną blachą okutą, i postawili ją przed królem. Henryk zapytał przez tłumacza, co by to miało znaczyć, a burmistrz z uroczystą powagą rozwarł wieko. Okazało się, że wielka skrzynia pełna była po wierzch naczyń złotych i srebrnych dla użytku stołu królewskiego.

Burmistrz przemówił:

— Jako ten szlachetny kruszec nigdy się nie zmieni w podłą glinę, tak serca mieszkańców Krakowa zawždy wierne swym królom. Przyjmijcie, miłościwy panie, ten podarunek od starodawnej polskiej stolicy i posługujcie się nim w zdrowiu długie lata.

Król kazał tłumaczowi zapewnić burmistrza o swym wielkim zadowoleniu i podał mu rękę do pocałowania.

Cechy rzemieślnicze wysłały swą starszyznę w deputacji, potem wójtowie, po jednym z każdego województwa, przysięgali na wierność w imieniu ludu wiejskiego, a na samym ostatku wielki rabin miasta Kazimierza, prowadzony dla zgrzybiałego wieku przez dwóch ze starszyzny żydowskiej, stanął przed królem. Żupan miał czarny atlasowy, na szyi łańcuch złoty z podłużną złotą tabliczką, na której było wyryte dziesięć Bożych przykazań. Łysą czaszkę pokrywała okrągła aksamitna czapeczka, biała broda spływała na piersi. Wyciągnął obie ręce ku miłościwemu panu ruchem błogosławiącym i mówił:

— Niech Bóg Abrahama, Izaaka i Jakuba, Pan Zastępów, który mocny jest, a ziemia i świat cały prochem pod Jego stopą, niech ten Wszechmocny a Nieskończony trzyma cię w swym ręku jako dziecię umiłowane i przedłuży pasmo dni twoich poza setne lata.

Na rozkaz króla tłumacz dziękował rabinowi za tak dobre życzenia i zapewnił go o wyjątkowej łasce najjaśniejszego pana.

Odeszli.

Henryk Walezjusz spojrział pytająco na wielkiego ochmistrza i westchnął. Spojrzenie i westchnienie mówiły: „Długoż to jeszcze potrwa?” Ochmistrz skłonił się i oznajmił, że ceremonia hołdu już skończona, ale jest jeszcze pięciu szlachty godnych łaski królewskiej i pasowania na rycerzy.

— Niech się zbliżą — odpowiedział król.

Stawili się wszyscy razem; urodziwi, ogromni, barczyści, jak się to mówi — chłopcy na schwał: Jan Załuski, Jakub z Rozwadowa, Pakosz z Grójca, Jacek Wolski i Zbigniew Kamieniecki,

Drobnej budowy i wypieszczonego ciała książętko francuskie wyglądało przy tych olbrzymach jak dziecko.

Król uśmiechnął się mimo woli...

Wielki ochmistrz przywołał jednego po drugim, każdy klękał na poduszce u stóp tronu, a król, wymawiając uroczystą formułę, uderzał go z lekka szpadą po ramieniu i podawał rękę do pocałowania.

Skończyła się i ta pańszczyzna.

Aliści spośród braci Zborowskich wysunął się Andrzej, strojny w złotogłów i drogie kamienie, pokłonił się królowi i złożony ręce patrzył prosząco. Był on jednym z niewielu, z którymi Henryk mógł się porozumieć w swym ojczystym języku, a takich naturalnie wyróżniał i lubił.

— Jakże to? Chcesz i ty być pasowanym? — zapytał ze śmiechem. — Po raz drugi? Za mało uznawasz w sobie rycerskości?

— Jeszcze gorzej, najmiłościwszy panie — odparł Zborowski. — Rycerz ze mnie lada jaki; dałem się pojmać w jasyr i waszą królewską miłość na pomoc wzywam w tej ciężkiej imprezie.

— Tajemnicza mowa; jakoż mam ją tłumaczyć?

— Uczyńcie mi największy zaszczyt, miłościwy panie... dziś rano pojąłem małżonkę, raczcie uświetnić moje wesele waszą najłaskawszą obecnością.

— Jakże to? Prosto z majestatu, w królewskim płaszczu? — wahał się Henryk, ale mu oczy błyskały ochota.

— Komuż wolno czynić, co chce, jeśli nie królowi? — szepnął poufnie Andrzej. — Polećcie podkomorzemu płaszcz w opiekę, a sami... toć to kilkanaście kroków, zaraz na rogu... ino Rynkiem na przełaj.

— A panna młoda ładna? — spytał król, przymrużając figlarnie jedno oko.

— Pani młoda — poprawił Zborowski. — Poślubiłem wdowę po Spytku Jordanie.

— Oj... leciwa może? Przyznam ci się — dodał król zniżając głos — że ni panien, ni wdów podeszłych rad nie oglądam.

— Moja małżonka młoda, jest, miłościwy królu; a urodą własną szczerze by trzy dziewczki obdzieliła i jeszcze by dla samej sporo zostało.

— Kiedy się tak bucisz* niczym paw, to chyba pojedę sprawdzić, zaliś nie skłamał.

Podano królowi konia, ród Zborowskich i inni goście pospieszyli za nim. W kamienicy narożnej przy ulicy Floriańskiej i Rynku, zwanej Pod Murzynami, odbyło się wesele. Dwudziesto—trzyletni król tańczył do upadłego przez całą noc. A że i miodem polskim nie

* Bucić się — chełpić się, być butnym.

pomiatało gardło francuskie, tedy nad ranem... nie konno, a w lektyce najjaśniejszy pan powrócił na zamek.

ROZDZIAŁ IV

Przez osiem dni po koronacji odbywały się na podwórzcu zamkowym gonitwy do pierścienia, turnieje, zapasy konnych i pieszych, słowem, przeróżne rycerskie igraszki. Przeciwnicy rozpoczynając potykanie przepaszali się wzajem, bo nieraz ranić mógł jeden drugiego, nawet ciężko. Zaraz pierwszego dnia przydarzyły się takie wypadki: pewien zapaśnik, przesyty na wylot, padł na miejscu; dwóch wysadzono z siodła i nieprzytomnych wynieśli z placu pachółkowie. Usposobienie króla i patrzących z galerii zamkowej tłumnie zebranych niewiast srodze się tymi wypadkami zasepiło. Dopiero Tatar pewien, przeskakujący w pełnym galopie z konia na koń, i to kilkakrotnie, zajął swa sprawnością zgromadzonych i rozweselił.

Nazajutrz zaciekawienie wzbudził niemałe rycerz olbrzymiego wzrostu, w misternej, złotymi sprzączkami spinanej zbroi, na odpowiednim do swej postawy koniu. Rycerz ten okazał się mistrzem nieprześcignionym we wszystkich trudnych sztukach. Nikt nie wiedział, kto jest ni skąd się zjawił; siatka drucziana u przyłbicy zasłaniała mu twarz.

Przywołany do króla, który go chciał osobiście pochwalić, musiał wymienić swe nazwisko. Przyklął przed miłościwym panem na jedno kolano i zdjął szyszak. Siedzący najbliżej ujrzeni twarz piękną, lecz jakimś srogim, twardym wyrazem oczu i ust zeszpeconą. Brwi miał krucze, niemal zrosnięte, włosy krótko strzyżone, kędzierzawe.

— Witajcie, rycerzu, sprawiliście nam osobliwą uciechę — mówił król łaskawie, przykazując tłumaczowi powtarzać każde słowo. — Z niemałym zdumieniem spoglądałem, jak lekką ręką pierścień bez chyby dzierzgamie, a tą samą ręką, napiąwszy kuszę twardą, trafiliście do celu w samo sedno. Siła i sprawność do

pozazdroszczenia. Szkoda ino, że tylokrotny zwycięzca dotąd bezimienny...

— Wyjawiłem ród mój i zawołałem wielkiemu ochmistrzowi, miłościwy panie, prosząc o *incognito** do czasu. Jestem Hieronim Płoński, starościc barski, herbu Prus minor, wierny poddany waszej królewskiej miłości.

— Czy może krewniak Jana, rotmistrza w usarskiej chorągwi kniazia Ostrogskiego? — spytał pan kasztelan Wołłowicz, stojący za krzesłem królewskim. — Znałem go dobrze, bywałem u nich w Rychcie.

— Tak jest, proszę waszej wielmożności, Jan był moim bratem.

— Był? Jakoż to rozumieć?

— Oboje braterstwo pomarli na morowa zarazę przed czterema laty.

— Niezbadane wyroki Pańskie... *Requiem aeternam**... A klucz rychtecki? Książęca fortuna, włości z pół kopy...

— Jako jedyny brat odziedziczyłem puściznę.

Pokłonił się raz jeszcze królowi i zeszedł na dół, przypatrywać się turniejom.

Ostatni dzień igrzysk zakończył się straszną zbrodnią. Rycerze niektórzy, między innymi Samuel Zborowski, powtykali swe kopie na podwórzcu zamkowym z wyzwaniem do walki. Sługa kasztelana Tęczyńskiego, Janusz Kroat, wyrwał kopię Samuela na znak, że się z nim będzie potykał. Zuchwałość ta obraziła niezmiernie pana kasztelanica, gdyż mniemał, że to sam pan Tęczyński dla ubliżenia mu sługę swego wysłał. A że był krwi gorącej i niepamiętny niczego w swej złości, skoczył z dobytym mieczem wprost ku Tęczyńskiemu, który na nieszczęście stał w pobliżu.

— Sługę swego nasadzasz na mnie? — krzyknął wściekle. — Bij się sam, tchórz!

* *Incognito* (lac.) — zatajenie nazwiska.

* *Requiem aeternam* (lac.) — wieczny odpoczynek.

— Schowaj wasza miłość miecz do pochwy — odparł Tęczyński spokojnie. — Potykania na ostre nie odmawiam, choć o tym, co Janusz uczynił, wcale nie wiedziałem. Jedźmy za miasto, tam się bijmy.

I cofnął się z placu turniejów w głąb wielkiej sklepionej sieni, łączącej podwórze pałacowe z dziedzińcem kościelnym.

— Nie za miasto! Tutaj! Natychmiast!... — krzyknął Zborowski. — Broń się, bo ubiję!

Andrzej Wapowski, kasztelan przemyski, dojrawszy, co się dzieje, rzucił się między przeciwników i rozkrzyżował ręce.

— Stójcie, panowie! Majestat!... Król miłościwy... toż nie bić się, ale nawet miecza dobywać nie wolno!

— A mnie wolno! — zuchwale odparł Zborowski, odtrącając Wapowskiego.

— Mieścież pomiarkowanie!

— Nie mam pomiarkowania! Precz!

Dworzanie Samuela skoczyli z gołymi szablami w pomoc swojemu panu, słudzy Tęczyńskiego z wściekłym wrzaskiem natarli na nich... stare sklepienie bramy zawyło echem...

— *Crimen laesae maiestatis*!* — wołał Wapowski, ze łzami ręce wyciągając.

— Nauk nie żądam... precz, mówię!

— Na rany Boga was zakli...

Nie domówił, gdyż Zborowski, cisnąwszy miecz o ziemię, dobył zza pasa czekana* i dwukrotnie ciał go w głowę.

Rzucono się na ratunek; Wapowski miał jeszcze tyle sił, że niesiony prawie przez przyjaciół, stanął przed królem i sprawiedliwości żądał. Omdlałego z utraty krwi odwieziono do domu. Zborowskiego odprowadziła straż do wieży.

Wiadomość o niebywałym od wieków zajściu, o zabójstwie w obrębie rezydencji królewskiej, rozbiegła się po mieście jak iskra niecała pożar. Oburzenie było powszechne, a tym gwałtowniejsze, że panowie Krzysztof, Andrzej i Samuel Zborowscy, zaufani w łaskę miłościwego pana, popełniali burdy, gwałty i wszelkie nadużycia niemal co dzień.

Wapowski umarł w cztery dni później.

Król Henryk, pomny wielkich zasług rodu Zborowskich względem swej osoby czasu elekcji, wydał na Samuela wyrok łagodny, nie zastosowany do ogromu zbrodni: skazał go na banicję* bez utraty czci.

Sarkano głośno na niesprawiedliwość. Wdowa po Wapowskim, z dzieckiem na ręku, dotarła do komnat królewskich i na kolanach domagała się surowej kary. Odeszła z płaczem, przeklinając króla.

Mijały tygodnie, przyszła wiosna. Młody król rozgospodarował się na dobre, ale nie rozgospodarował się dobrze. Chcąc sobie zjednać jak największą liczbę życzliwych w narodzie i z ich pomocą nieznacznie a zrećźnie umacniać władzę królewską, tak bardzo przez Radę Koronna krepowaną, nie widział lepszego środka, jak sypać dobrodziejstwa na prawo i na lewo; rozdarowywał urzędy i starostwa, za które dotychczas znaczne sumy płacono i co stanowiło wielkie dochody królów. Henryk Walezjusz, hojny i lekkomyślny, szarpał nawet z majątku Rzeczypospolitej... Po krótkim jego panowaniu z 300 000 talarów pozostało w skarbcu tylko 100 000.

Anna Jagiellonka pogodziła się z losem i nie myślała już o poślubieniu młodego króla; ten jednak, czy z wrodzonej skłonności do maskowania swych zamiarów, czy dla pocieszenia infantki w jej zawiedzionych nadziejach, wyprawiał na zamku bale, uczyty, przyjęcia wieczorne w ogrodach zwierzyńceckich, a zawsze i na pierwszym miejscu zapraszał królowę

* *Crimen laesae maiestatis* (łac.) — zbrodnia stanu, obraza majestatu.

* C z e k a n — rodzaj broni przypominającej kij zakończony młotkiem.

* B a n i c j a — kara skazująca na wygnanie z kraju.

i zachowywał się wobec niej z taką uprzedzającą, nawet serdeczną grzecznością, że patrząc na to przyjaciele Anny nabierali otuchy i poczynali znów liczyć na to małżeństwo.

W połowie czerwca otrzymywał król dzień po dniu listy z Francji, których treści nie zwierzał nikomu; dnia jednego zamknął się tylko z posłem de Bellievre i z kawalerem de Souvray i długo się nad czymś naradzali. Po tej rozmowie spieszenie się przebrał w strojne szaty, w krezę z najpiękniejszych brabanckich koronek, łańcuch przetykany rubinami zawiesił na szyi i czym prędzej pojechali wszyscy trzej na Zwierzyniec, gdzie właśnie miały być pląsy w oszklonej ogrodowej sali.

Zebrani goście powitali jego królewską mość głębokim ukłonem, a Henryk, nie zatrzymując się biegiem prawie do krzesła królowej, którą powitał czułym ucałowaniem ręki.

— Obawiałam się, czy niemoc przemijająca nie zatrzymała was doma, miłościwy panie — rzekła infantka składając ukłon.

— Musiałaby to być chyba śmiertelna chorość, a i tę zwyciężyłaby nadzieja krzepiąca serce, że was tutaj zobaczę.

— Prawicie mi piękne słówka... — królowa urwała w pół zdania. — Czy wolno mi poskarżyć się przed wami na króla?

— Ach, poddaję tego zbrodniarza na ślepo srogości waszej; w czymże zawinił?

— Mogę mówić śmieie?

— Jako pani do swego służebnika.

— Prosiłam was, miłościwy panie, po czterokroć, a może i więcej razy, byście mi byli opiekunem w sieroctwie moim a chronili od krzywdy. Aliści z imion* moich po najmiłościwszej matce odziedziczonych i z tych, które mi testamentem nieboszczyk brat mój, król Zygmunt, zapisał, własną ręką czynicie darowizny!

— Czy to być może? Pomyłką się to chyba stało albo was źle powiadomiono.

— O, nie, miłościwy panie! Nie będę wyliczała wszystkiego, co wiem, bo nie pora dziś trapić was nudnymi sprawami, jedno przytoczę: podarowaliście czternaście wsi moich kasztelanowi czerskiemu, a ten, rozzuchwalony waszą łaską a niedolą moją, zaprzysiągł się, że mi na mieszkanie moje w Warszawie nie zezwoli, gdy właśnie stanowczo żądam tego i tam, a nie gdzie indziej mieszkać będę.

— Kasztelan czerski... — mówił król marszcząc brwi, jakby sobie przypominał — kasztelan czerski... Zygmunt Wolski?

— On sam, a wieluż to innych oprócz niego zagrabiło niesłusznie moje włości!... I w zaopatrzeniu dworu mego posuwają skąpstwo do najdalszych granic. Śmieszno przyznać: na całe utrzymanie mojej osoby, dworzan, sług i koni — pięćset złotych tygodniowo. Wybaczcie, miłościwy panie, że czas przeznaczony zabawie macę wam tymi żałami, lecz inszej sposobności nielacno mi znaleźć, zawsze jest przy was któryś z panów Rady, a nie przystoi godności mojej rozmawiać z wami poufnie przy świadkach.

Po twarzy Henryka przemknął cień rozdrażnienia; pohamował się natychmiast i znowu złożył z wdziękiem pocałunek na ręce królowej.

— Uczynię, co tylko w mej mocy, by naprawić to złe i wszystko odmienić ku waszemu zadowoleniu.

Królowa westchnęła. Który to już raz przyrzekał jej to sarno!

— A teraz raczcie rozpocząć tańce z wojewodziec krakowskim. Oto mu daję znak, by się przybliżył. Niestety, jeszcze mi dwóch rzeczy nie dostaje na prawdziwego monarchę Sarmatów: nie nauczyłem się polskiego* tańca i nie polubiłem dotąd piwa.

— Uspokójcie się, miłościwy panie — rzekła królowa. — Jeżeli na tych dwóch cnotach ino zbywać wam będzie, zaliczą was potomni pomiędzy najślawniejsze króle świata.

* I m i o n a — 1. mn. od wyrazu „imienie”: majątność rodowa.

* P o l s k i , czyli p o l o n e z — narodowy taniec dworski otwierający bale i uroczyste uczty.

— O jakże ostry macie języczek!... Mości wojewodzicu, miłościwa infantka raczyła was wybrać do polskiego.

Muzyka, ukryta w klombie kwiatów, zagrała, kilkadziesiąt par w porządku starszeństwa i godności ruszyło za królową posuwistym, rytmicznym krokiem dokoła sali.

— Ładny taniec, Henryczku? — zapiszczał po francusku błazen, karzeł Krassowski. — Ładny taniec, powiadasz? Żal ci, że go nie umiesz? Bogdaj to prawda była. Wszak w Paryżu na nic się nie przyda.

Król ruszył ramionami, a Pibrac, stojący przy nim, zbladł i przygryzł wargi.

— Co ta żaba wyplata! — zawołał z wymuszonym uśmiechem.

— Cale się nie dziwuje, że myślisz o powrocie — dalej prawił karzełek. — Wiadomo, wszędy dobrze, a doma najlepiej... francuski tron dziedziczny, a polski na elekcji stoi. Tedy konie kulbaczyć, komu w drogę, temu czas!

Zakręcił się i wybiegł do drugiej komnaty ze śmiechem.

— Czyżby kto... — szepnął król do dworzanina.

— Broń Boże! Ot, błazen, gada trzy po trzy, więcej nic.

Po pierwszym tańcu nastąpiły inne, cudzoziemskie; król się rozbawił, najpiękniejsze panie wybierał, prawie nie spoczął, i dobrze już niebo różowiało się na wschodzie, gdy wreszcie miłościwy pan dał hasło do odwrotu.

Nazajutrz, a była to środa 16 czerwca, wielkie zamieszanie sprawił kurier z Francji. Jakkolwiek nie zwierzał się król nikomu, a przybocznicy jego dworzanie Francuzi także umieli milczeć, jednak niewiadomym, nieodgadnionym sposobem rozeszła się była przed kilku dniami wieść po mieście, że brat miłościwego pana, Karol IX, król francuski, zachorzał ciężko. Teraz znowu posłaniec z opieczętowaną torbą skórzana, ledwie żywy ze zmęczenia... co wiezie?

Niebawem ciekawość dworu i dalszych została zaspokojona: król Henryk wyszedł ze swych komnat zapłakany, udał się do sali obrad i tam oświadczył senatorom, że dziś nie będzie przewodniczył posiedzeniu, zaś wszelkie przyjęcia, uczyty i zabawy dworskie odwołuje na miesiąc z powodu żałoby po śmierci ukochanego brata. Panowie Rad Koronnych złożyli u stóp majestatu swe najwyższe współczucia, ksiądz biskup zapowiedział żałobne nabożeństwo na jutro, po czym wszyscy się rozeszli.

Nowo mianowany podkomorzy, Jan Tęczyński, kasztelan wojnicki, prosił o posłuchanie u królowej i oznajmił jej w imieniu miłościwego pana smutną nowinę. Infantka wyraziła mu swoje szczere współczucie z tego powodu i życzenie powtórzenia tych słów osobiście królowi, gdy ochłonawszy z pierwszego żalu zechce ją przyjąć.

Od czasu spotkania z tajemniczym swym wrogiem, dziadem, w kruchcie katedralnej, Krysia zmieniła się do niepoznania. Zrozumiała i upewniła się, że istotnie ktoś ją chce krzywdzić, może nawet czyha na jej życie; a to przekonanie zgasiło jej swobodną wesołość. Podziały się gdzieś trzpiotowate figle, a natomiast przyszedł niepokój, rozdrażnienie, płacz o najmniejszą drobnostkę i strach przed samotnością. Za żadne skarby świata nie pozostałaby sama w izbie, nawet zamkniętej. Rozbijała wyobrażenia podsuwała dziewczynce niemożliwe przypuszczenia,, dziad mógł wyleźć z podłogi, zza obrazu, wskoczyć oknem, wsunąć się kominem. Dziad wszystko potrafi, bo dziad chce ją porwać, bo dziad ją porwać musi.

W dzień bywało jeszcze jako tako. Sadowiła się z robótką w pośrodku panien dworskich i czasem tylko wzdrygała się na jakąś myśl okropną i przerażonymi oczyma wpatrywała się we wszystkie kąty, ale gdy opowiadano coś wesołego lub miłościwa królowa kazała Kasię czytać przedziwne historie ze Starego Testamentu, Krysia zapominała o swej urojonej czy słusznej trwodze.

Z nadejściem wieczoru strach wzrastał, dziecko czepiało się starszych z płaczem, rozpieszczone przez królową, nieraz i do niej się tuliło. Na szczęście, zdrowy sen dawał

odpoczynek Krysi ! całemu fraucymerowi, który zamęczała od tyłu tygodni. Bywały jednak i takie noce utracone, w których dziewczynka zrywała się, krzycząc, że ją diad goni.

Anna Jagiellonka siedziała zadumana w swej komnacie: myśli i wspomnienia musiały być smutne, bo oczy królowny wzbierały łzami.

Westchnęła, przeżegnała się i uspokojona zawołała Kasię. Panna Leszczyńska wbiegła z przyległej komnaty.

— Słucham pokornie waszej miłości.

— Coś bym rada opowiedzieć, może mi zelży na sercu. Miałam tej nocy sen osobliwy: widziałam jakby na jawie brata mego; szedł jakąś kamienistą ścieżką pod górę, a góra była aż pod niebo. Żal mi go było, bo się śłaniał od zmęczenia, tedy mu rzekę: „Zaprzyj się na mnie, lżej ci będzie”. A on tak odpowiedział: „Muszę iść sam, twoja droga insza, nie wolno ci ze mną”. — „A dalekoż to jeszcze na szczyt?” — zapytałam. „Bardzo daleko i bardzo stromo — powiada. — Ino kto by mi podarował dziewięć piątków, tobym rychlej zaszedł”. — „Jak to podarował?” — spytałam jeszcze. Aliści w jednej chwili wszystko znikło i obudziłam się. Rozumiesz, co to było?

— Jakoweś tajemne znaczenie... gdyby rozważyć...

— Ja to całe po prostu tłumaczę: król prosi, bym się zań modliła przez dziewięć piątków, to mu skrócę ciężką drogę czyścową i do nieba dojsz dopomogę. Tak mi pilno, tak bym chciała już zacząć... ino chodzi o to jak? Tedy suponuję*, jeśli owa droga ku niebu tak przykra, to i moja modlitwa ma być połączona z uciążliwością. Będę chodziła do kościoła o północy, właśnie gdy sen człeku najmilszy. Nabożeństwo ranne co piątek zamówię, a nocą zebrać się, nie zaspać, to już ty mi pomożesz, prawda? Pamiętaj, jutro zaczynam.

— Chyba powiecie: „zaczynamy”, bo ja z wami koniecznie i jak znam pannę Krupską, to będzie błagała waszą miłość, by ja dopuścić raczyła do wspólnej modlitwy.

— A cóż uczyni z Krysią?

— Nie piśniemy słówka przed dzieckiem ani przed nikim innym. Zezwoli wasza miłość, że ino we trzy będziemy chodziły do kościoła. Z tamtymi nie ma co próbować, więcej mitręgi, jak pożytku.

Nazajutrz tedy, czyli w piątek, dawno już starsze i młodsze dworki rozeszły się do swych sypialni, dawno stróż nocny otrąbił jedenastą godzinę, gdy królowna w lekkim sukienym półgiermaczu i białej chuście na głowie, z Kachną i Marysią, niosącą przodem zapaloną woskową świecę, przesuwwały się jak widma ciasnym korytarzem do krytych schodów, prowadzących wprost z komnat do kościoła. Tam, na marmurowym ganeczku, w kaplicy Przenajświętszego Sakramentu, klęcząc naprzeciw ołtarza, Anna rozpoczęła modlitwy za duszę króla Zygmunta psalmem pokutnym: *De profundis clamavi ad Te, Domine...**

— *Domine, exaudi orationem meam...** — żałosliwym głosem odpowiedziały dziewczęta.

W komnatach na górze cisza zalegała; wszystko spało. Wtem drżący, lękliwy głosik wyszeptał:

— Marysiu...

Zamiast zwykłej, uspokajającej odpowiedzi — milczenie.

— Maryyysiu... — odezwało się dziecko znowu.

Nikt nie odpowiedział, tylko za przepierzeniem, w jakiejś drugiej izbie, szmery, przytłumione głosy, liczne kroki...

— Marysiu! — zawołała Krysią już głośno i wyskoczyła z łóżeczka. — Marysiu! Diad po mnie idzie!

* S u p o n o w a ć — przypuszczać.

* *De profundis clamavi ad Te, Domine...* — (lac.) — dosł.: z głębokości wołałem do ciebie, Panie; jeden z siedmiu psalmów pokutnych, śpiewanych w kościele katolickim w dniach żałoby.

* *Domine, exaudi orationem meam* (lac.) — Panie, wysłuchaj modlitwę moją.

Jeden krok tylko, a przytuli się do swej opiekunki i będzie bezpieczna... Pomacała rączkami posłanie, nie ma nikogo. Zapanowała nad wzrastającym przerażeniem, na palcach cichusieńko, kierując się ku nocnej lampce w sypialni królowej, doszła do komnaty. Stała w progu... cisza. Idzie dalej... i tu łoże nawet nie poruszone; żywego ducha w izbie. Cóż to ma znaczyć? Wszyscy gdzieś poszli, ją samą zostawili... a dziad już idzie... zbójców prowadzi... najwyraźniej kroki słysząc gdzieś bliźniutko.

— Jak mię złapie — szepnęła, przyciskając rączki do piersi — to zadusi od razu... a jakże, zadusi. Trzeba uciekać prosto przed siebie... toć mnie po nocy nie dogoni...

Otworzyła drzwi ostrożnie, wyrzała; ciemno, straszno, kamienna posadzka zimna jak lód, w którą stronę się zawrócić?

„Może w prawo? Nie... tam jakieś głosy; pójdę prosto... ojoj, mur! Aniele Strózu mój, ty zawsze przy mnie... Jezus... światełka widać! Ktoś idzie... pewno dziad!”

I naprzód, naprzód, po omacku, byle uciec przed zbliżającym się światłem, z wyciągniętymi rączkami, o ściany sobą uderza, stawia kroki niepewne, a w uszach tak coś huczy... takie mioty biją...

Odwraca głowę, światełka widać coraz wyraźniej, ktoś się zbliża.

Krysia uczuwa pod ręką przerwę w murze.

— Co to? Jakaś szpara... Nie, to okienko! Mur gruby, wsunę się głęboko, może mnie nie zobaczą...

Wdrapuje się do framugi, wstrzymuje oddech... Pięciu ludzi przechodzi tuż obok niej... mogłaby ich dotknąć ręką: idą w milczeniu. Dwaj niosą małe latarki, idą przodem. Za nimi... kto taki?... Król jego miłość... Sam król?... W nocy?... Skrada się na palcach, jakby się bał... czy i jego ktoś goni?... A jak się spieszą! Zaczynają biec... Otucha wstąpiła w serce Krysi...

— Mario, królowo... to nie dziad!

Spełza z przymurka na posadzkę i bezmyślnie, bezwiednie bosymi nóżętami ściga niktą w oddaleniu światełka.

— Oho... gdzieś się podzieli... czy zgasili latarki? Przebiegła jeszcze kilka kroków, znowu coś migło, ale niżej, o wiele niżej.

— Już wiem... schodki jakieś... Gdzież oni idą?

Chłodny powiew świeżego powietrza musnął twarz dziewczynki. Zbiega coraz niżej, furtka otwarta... Stała, rozgląda się, gwiazd na niebie jak maku... migocą, nikogo już nie ma.

— Znikli czy co? — szepce Krysia do siebie. — Nie, słysząc głosy... za szkarpą stanęli!

Posuwa się ku baszcie.

— Jezus Maria! — krzyknął ktoś i nagle zacharczał, jakby go pod gardło chwycono.

— A, ty przekłębniku... łotrze jeden! Co tu chciałeś wypatrować? Będiesz pod zamkowymi murami szpiegował? Ciekawyś? Zapłacisz za ciekawość! No, przeżegnaj się przede śmiercią!

— Matko Boska święta... nie zabijajcie! — przeszywa powietrze donośny krzyk dziecka.

Cisza. Kroki się oddalają.

Spoza muru wychodzi jakiś człowiek, chwiejąc się na nogach. Oczy Krysi, przywykłe do mroku, widzą dobrze.

— Antoni, kuchta! A ty co tu ro...

— Panienczka... Pannuncia... Krysiunia! Wybawienie moje! Ady nóż wyciągał z pochwy, byłby mnie zażgał bez litości, gdyby go wasz głos nie spłoszył.

— Kto taki?

— A któż by? Ten Francuz diabelski, co po naszymu gada, Pibrac. Niby to moja wina, zem ich przydybał na gorącym uczynku.

— Kogo?

— Nie widziała pannuńcia? Miłościwy król samopiąt* uszedł z Krakowa! A ja i tak lecę do pana kuchmistrza, opowiem, co się stało. Niech roześle służbę po całym mieście szukać pana podkomorzego. Jest na uczcie u któregoś wojewody. Ale... skądże się panienka tutaj wzięła?

— Uwidziałam idących i szłam za nimi... sama nie wiem po co.

— Ale ja wiem. Pan Bóg miłosierny zesłał mi dziecko niewinne na ratunek od zguby. Chodźcie, pannuńciu, zaniósę was do izby, bobyście zabłądzili po ciemku w onych krużgankach.

— No i cóż?

— No i jakże? — pytali jeden przez drugiego panowie polscy, którzy wyjechali naprzeciw podkomorzego Tęczyńskiego.

— Z czymże wasza miłość wracasz?

Tęczyński rozkrzyżował ręce bezradnie.

— A z niczym.

— Jak to? Nie dopędziliście króla?

— Pięciu ich leciało jak wicher od Zwierzyńca, gdzie ich czekały gotowe konie; mieli je rozstawione co dwie mile. Toć i dogonić niełatwo było. Nam cztery wierzchowce padły, Tarnowski i Wiśniowiecki ledwie żywi dojechali, a jednak... złapaliśmy ich... już za Pszczyną.

— Aha... za granicę zdołali ujść!

— I cóż?

— Ano co? Mówić sobie nie dał o powrocie.

— Boś wasza miłość nie nalegał ostro... — gniewnie mruknął wojewoda Firlej.

— Nie nalegałem? Do nóg mu się rzuciłem, za strzemiona chwytalem, krwi sobie z palca upuściłem, jako się dam zabić zań, jeśli wróci. Zawziął się, że musi do Francji, załatwić sprawę o dziedzictwo korony po bracie. Przysięga, że za trzy miesiące przyjedzie.

— Trzeba mu było powiedzieć, że Rada nie będzie się przeciwic, niech ino z naszą wiedzą i zgodą jedzie, a nie potajemnie.

— Wszystko mówiłem. Prosiłem, błagałem, stawiałem mu przed oczy, że niegodna Pomazańca Bożego uciekać chyłkiem w nocy, jak zbrodzień, gdy może jechać swobodnie; z chwałą, w biały dzień, jako przystoi królowi. Płakałem i on płakał, ale nie ustąpił. Ot, podarował mi spinkę do żupana z diamentem... za całą odpowiedź.

— To te kukły francuskie namówiły go do wszystkiego...

— Licho ich wie, kto kogo namawiał, dość, że ujechali.

— *Didko jeho bery!** — zaklął po rusku Wołowicz. — Mieliśmy pana przez cztery miesiące i dwa dni... Warto było koronę bezcześcić.

— Pohańbił Rzeczpospolitą! — krzyknął Mniszek.

— Spoliczkował cały naród! — zawołał Bonar.

— Utarzał w błocie świętość majestatu! — pochylając siwą głowę szeptał Dębiński.

* *s a m o p i a t* — w pięć osób

* *Didko jeho bery* (ukr.) — niech go diabeł weźmie.

ROZDZIAŁ V

Nastało bezkrólewie. Rada Koronna wysłała poselstwo do króla Henryka, wzywając go do powrotu albo żądając stanowczej odpowiedzi, że się zrzeka tronu. Ani wracał, ani abdykował^{*}; coraz nowe naznaczał terminy, obietnicami ludzi, a z Francji się nie ruszał.

Zniechęcenie wzrastało. A gdy jeszcze przyszła wiadomość, że Henryk został namaszczoney w Reims, a potem koronowany w katedrze paryskiej dnia 20 lutego 1575, już nikt jego przyrzeczeniom nie wierzył.

Poczęły się znów ciężkie czasy dla Polski. Przyszły te same wątpliwości co do wyboru króla, te same intrygi pretendentów^{*} do tronu, te same sejmiki bezowocne, niesnaski, bezrząd, a w mętnej wodzie przymyślni rybacy zapuszczali wężycierze^{*} i wyciągali dla siebie korzyści. Dwa lata znów ciążyła ta klątwa nad narodem; opustoszały tron czekał króla.

Anna Jagiellonka mieszkała teraz stale w Warszawie, gdzie się przeniosła wbrew woli senatorów. Sprzeciwiali się jej wyjazdowi z Krakowa, ale stanowczo oświadczyła, że w całym swym życiu krępowana i na pasku wodzona, przynajmniej tyle żąda swobody, by mogła wedle swej chęci obrać sobie mieszkanie. Nie mogąc wyszukać przyzwoitej przyczyny do zatrzymania królowny w Krakowie lub osadzenia jej w jakiej małej mieścinie pod czujnym dozorem, musieli zachować się biernie, gdy odjeżdżała.

Bracia Zborowscy tymczasem nie próżnowali. Doświadczwszy wdzięczności i łask Henryka Walejusza, postanowili jednomyślnie, że nowy król, ktokolwiek nim zostanie, znowu za ich przemożnym wpływem tron pozyska. Najstarsi, Piotr i Jan, ludzie prawi, w zabiegach elekcyjnych mieli na celu dobro ojczyzny; Andrzej, Krzysztof i wygnany z kraju Samuel służyli tylko sobie. Roili plany i liczyli na dostojęstwa i intratne urzędy. Nawet banicja Samuela okazała się wielce korzystną ich zamiarom: postanowili bowiem, że królem musi zostać Stefan Batory, „książę siedmiogrodzki”, jak go Andrzej z lekceważeniem nazywał. Na jego to dwór schronił się Samuel i doznawał wcale łaskawej gościnności. Obecność jednego ze Zborowskich w Siedmiogrodzie ułatwiała wiele. Starsi bracia intrygowali, jak mogli, wszędzie ich było pełno; dziś w Warszawie, za tydzień w Wilnie lub Krakowie, a listy do Siedmiogrodu i odpowiedzi stamtąd krzyżowały się raz po raz.

Sam książę siedmiogrodzki, najbardziej interesowany^{*} w tej sprawie, zachowywał się biernie; sprzyjając bowiem Polsce, bał się uwikłać ją w wojnę z cesarstwem niemieckim, gdyż cesarz Maksymilian nie zniósłby obojętnie powtórnego odrzucenia kandydatury syna swego Ernesta.

Jędrus Chwalibóg, przywiązany ślepo do Samuela Zborowskiego, dzielił losy swego pana i służył mu wiernie tak w dobrej, jak w złej doli. Paziowanie skończyło się, gdy złotawy meszek wysypał się nad górną wargą; na poły dworzanie, na poły przyjaciel, pełnił poufne zlecenia swego pana i on to najczęściej woził tajemne listy z Siedmiogrodu do Polski i odpowiedzi z powrotem. Młody chłopak nie zwracał niczyjej uwagi, z łatwością przebywał węgierską granicę, nie pytany, z czym jedzie lub do kogo.

— Niech wasza książęca mość dobrze rozważy, co stoi w piśmie mego brata Jana; to zaiste najrozumiejsze rozwiązanie trudności — mówił Samuel Zborowski do Stefana Batorego po przeczytaniu listów przywiezionych przez Chwaliboga.

Głęboko osadzone czarne oczy księcia osłoniły się powiekami; nie można było odgadnąć, czy podziela zdanie Zborowskiego co do treści listu.

* A b d y k o w a ć — zrzec się władzy królewskiej.

* P r e t e n d e n t — starający się o coś.

* W i ę c i e r z — kosz wiklinowy lub sieć do połowu ryb.

* I n t e r e s o w a n y — mający interes.

— Widzicie tedy, miłościwy panie — ciągnął dalej — że pomysł wojewody Tęczyńskiego, a właściwie Jana Zamoyskiego, starosty bełzkiego, tak prosty i z chęciami każdego Polaka zgodny, kończy nieszczęsne bezkrólewie, usuwa niebezpieczeństwo od strony Niemiec, a miłej ojczyźnie daje dzielnego i mądrego pana,

Tu skłonił się nisko, patrząc bystro w twarz księcia.

Batory wsparł głowę na rękę i milczał, Samuel nie zrażony prawił swoje:

— Że ze wszelkimi obrządkami ukoronują infantkę Annę. uczynią jej dawno przynależną sprawiedliwość, a że nie kogo inszego przydadzą jej za męża, tylko was, miłościwy panie, to dla państwa polskiego łaską boską a szczęściem mienić trzeba.

— Ale czy ten przydany królowej małżonek ma jakie jutro przed sobą, nie ino kilka lat życia na tronie? — z goryczą rzucił Batory. — Wždy pracując, ile sił, całym sercem, całym rozumem dla przybranej ojczyzny, mógłby śmiało żądać, by jego syny i wnuki dziedziczyły po nim tron i zbierały żniwo z onego ziarna, które ojciec w pocie czoła zasiewał, a tu... jako rzekłem... życie bez jutra.

— Infantka niemłoda, przyznaję — szepnęła Zborowski z naciskiem — starsza od was... któż wie, czy długo pożyje... jeszcze, panie najmiłościwszy, dynastię ugruntujecie ku swej pociesze a pożytkowi Rzeczypospolitej.

Batory potrząsnął głową ze wstrętem.

— Jeśli przyjmę polską koronę — rzekł — to prosto, uczciwie, bez rachuby. Na niczyjej śmierci domu swego fundować nie będę. Owszem, ta druga cześć listu waszmościnego brata cale mi trafia do przekonania. Gdy sam potomstwa mieć nie mogę, niechże przyszedł następca chowa się pod moim okiem. Mały arcyksiążę Maciej, najmłodszy syn cesarza Maksymiliana, kształcony przez mnie może się stać synem duszy mojej i królem, jakiego Polsce życzą. A projektowane na przyszłość ożenienie go z królowną szwedzką zapobiega zatargom z tamtej strony i potomstwo Jagiełły osadza na tronie pradziada. Plan Zamoyskiego widzi mi się dobry.

Ciężkie westchnienie i smutek beznadziejny w oczach przeczyły tym słowom.

W kilka dni po tej rozmowie Andrzej Chwalibóg z paczką listów, ukryta na piersiach, jechał do Polski. Jan i Piotr Zborowscy byli naówczas w Warszawie. Całej szlachcie przypadło do serca obwołanie Anny Jagiellonki królową; elekcja zaś Stefana Batorego miała przeciwników w duchowieństwie, które z prymasem Uchańskim na czele głosowało za cesarzem Maksymilianem. Toż samo i Prusy, i miasta nadbałtyckie Gdańsk, Toruń i Elbląg stały po stronie Niemca. Jednakowoż partia Zamoyskiego, Tęczyńskiego i Zborowskich była silniejsza i spodziewano się, że do zgody przyjść musi, zwłaszcza że stronnictwo cesarskie już się zaczynało wahać. Np. duchowieństwo krakowskie przyznało się, że ma dwie powitalne oracje gotowe: dla cesarza i dla księcia siedmiogrodzkiego. Kto pierwszy stanie w Polsce, temu wierność zaprzysięgną. W liście wiezionym przez Chwaliboga Samuel zawiadamiał braci, że księżę siedmiogrodzki niewesoło zapatruje się na całą sprawę, jednak gdy zostanie obrany, przyjmie koronę.

Królowna Anna, powiadomiona o sprawie poufnie, dziękowała gorąco Bogu, że po tylu latach gorzkiego sieroctwa świta dla niej nareszcie jaśniejsza przyszłość. Deputacja najwyższych dostojników państwa z Janem Zamoyskim na czele miała się stawić przed obliczem nowej pani i zawiadomić ją, że naród obrał ja sobie królową. Za czym miał nastąpić wyjazd do Krakowa, ślub ze Stefanem Batorym i koronacja.

Droga z Węgier, jakkolwiek długa i męcząca, przeszła pomyślnie. Jędrus, zaopatrzony w pieniądze, zmieniał konie kilka razy i zdrowo zajechał do Piotrkowa. Tam przenocowawszy wyruszył przed świtem, aby jeżeli się uda, jednym dniem stanąć w Warszawie. Aż tu miłą przed mazowiecką stolicą, w nędznej jakiejś wioszczynie, koń zgubił podkowę. Kowala nie było we wsi, musiał młody dworzanin zostać na noc w karczmie.

Podjechał, gospodarz stał właśnie przed bramą.

— Możecie mi dać izbę z łóżkiem i miejsce w stajni dla konia? — spytał uchylając czapki.

— Z drogiej duszy, paniczu — odpowiedział karczmarz. — Od tego zajazd, aby podróżni mieli wygodę. Ino jak na złość wszystkie izby pełne, a w stajni jeszcze gorzej: strach boski, że się koniska pokopią na śmierć.

— Cóż ja, nieszczęsny, uczynię! Takim zdrożony... zapłaciłbym dobrze, choćby w jakiej szopie, byle dach nad głową. Położę się przy koniu, niewygodne, cóż robić, aby się ino przespać.

— Ha, kiedy się godzicie na byle jaki ką, to wam uprzątnę komórkę za alkierzem. Leżą tam łopaty, worki z otrębami, taczki, grabie; powynoszę wszystko, uścielę słomy, koniowi się przyrzuci obroku i może ta nie najgorzej będzie. Ino światła wam nie dam, wicher na polu, nie daj, Boże, iskry, nieszczęście gotowe.

— A mnie światła po co? Spać mi się ano chce, że ledwo stoję.

Karczmarz sprawił się zwinnie, przegrodził szopę dwiema drabinami, żeby koń panu nie przeszkadzał, i powiedziawszy podróżnemu „dobranoc” poszedł spać do sadu, bo w domu już ani szpilki nie było gdzie wetknąć.

Jędrus ukląkł pobożnie, ziewnął ze szczerego serca i zaczął mówić pacierz. Oczy mu się kleiły; doszedłszy do „wierzę w Ducha Świętego” nie mógł sobie przypomnieć, co dalej, i bęczał jak długi na słomę.

Aliści przez szeroką szparę między deskami błysnęło z izby światelko, aż się w szopie rozwidniło.

— Trzy razy mogłeś ją chwycić, trzy razy umknęła ci z rak, ciemnego przeklęty — łajał ktoś przyciszonym głosem.

— Oho, ten trzeci raz to się wcale nie rachuje... wždy po koronacji siedem ich stało wedle niej — odpowiedział ktoś drugi zacinając się i szepleniąc. — A ino mnie dostrzegła, narobiła wrzasku, jak gdyby ją zarzynano. Dobrzem uczynił, zem uciekł, bo wszystkie kąty za mną przeszukali.

— Głupis i tyle. Przyłapałbyś gdzie w sieni albo w sadzie, zdusił jak kurczę i w nogi. Niechby potem głowę łamali, co się dziewce stało.

Jędrus, zupełnie ocucony, przylgnął twarzą do szpary, patrzył i słuchał z bijącym sercem.

„Zbójcy „jacyś... zmawiają się na kogoś...” — pomyślał.

— Więc słuchaj i rób, co ci kazuję — szeptał głos pierwszy. — Stara nie mieszka na zamku, ino w dworcu książąt mazowieckich.

— Jaka stara?

— Tożeś motoł nad motoły* : królewna Anna przecież.

— Aha. Po cóż ją starą zowiecie? Dy młodszą ode mnie o jakie pięć roków.

— Aże coś na wnętrzu boli od takiego gadania. Nie rezonuj, a nastaw uszy.

— Nastawiam.

Jędrus podniósł się na posłaniu, dobył z kieszeni składanego nożyka i ostrożniuteńko wycinał większy otwór w szparze. Przyłożył oko.

„Ach... gdzieżem ja widział tego człowieka! Twarz taka łacna do spamiętania... Jezus, gdzieżem ja ją widział?” — myślał chłopiec, wpatrując się z zapiętym oddechem w zbrodniarza.

— Słuchasz uważnie? — burknął ostro głos pierwszy.

— Co bym nie słuchał... dy mam uszy — odpowiedział zuchwale głos drugi.

— Więc miarkuj, coć rzekę: królewna co dzień chadza na nieszpór do fary i tam, po skończonym nabożeństwie, jeszcze na modlitwie długie godziny przesiaduje. Dwie ino panny bierze ze sobą; najczęściej Kachnę i ona drugą, co...

— Dy mi już nie kładźcie łopatą w głowę, ino gadajcie dalej.

* M o t o ł — matoł, głupiec.

— Zdarza się niemal co dzień, że gwiazdy już na niebie, gdy do dom wracają. Gdyby stara szła przodem, łącno wyskoczyć zza węgła i szyję dziewczę ścisnąć, coby ani zipla. Jeszcze lepiej w sieni wedle schodów się ukryć i sposobnej chwili czekać. Sypialne izby mają na dole, a że młodsze wcześniej spać chodzą, tedy Krysia najpierwsza zbiega ze schodów i jak nic ją chycisz.

Jędrusiowi aż w uszach zadzwoniło.

— Królowo niebieska! — jęknął.

— Co powiadasz? — spytał głos za ścianą.

— Nic nie gadam, ino słucham.

— Ktoś gadał tylko co.

— Tak się wam ino przestęsało; gałęzie łomocą o szyby, w kominie świszczą...

— Tu obok, za ścianą...

— Koń owies chrupie, stajnia. Takiście lękliwy niczym zając.

— Więc pamiętaj: złapać, udusić, ale na śmierć; niech już raz mam życie spokojne. Jakbyś nie miał pewności, to nożem popraw.

— Jużci, bez pół nie będę robić, ino akuratelynie. Chciałbym was jeszcze o coś zapytać...

— No, co takiego?

— Dlaczego tak na dziewczkę nastajecie, kiej nikt nie wie, co za jedna ani jak się zowie. Mogłaby żyć sto lat i w drogę wam nie wlezie.

— Mamka z nią uciekła tej samej nocy, kiedy Fedko miał rzucić przekłete szczenię do stawu. Tedy ani chybi musiała podsłuchać, i stary Maksym gdzieś się podział...

— Sprawiedliwie się bać można; ci dwoje nad żywot miłowali pańska dziecinę.

— Skoro potrafili wetknąć ją na królewski dwór, a milczą, widno się pomsty lękają; ale gdy się sposobna chwila nadarzy...

— A może już dawno pozdychali...

— Gdybym był tak pewny... ot, po co gębę strzepić; masz przykazane i wytłumaczone, jak się sprawisz gracko, dwadzieścia czerwonych twoje...

— Może wasza wielmożność jeszcze ta co nadrzuci, bo to nóż a krew... a ja mam strasznie miękkie serce.

— Nadrzucę, nadrzucę, ino niech się to stanie. Teraz spać, jutro w drogę.

Światło w alkierzu zgasło.

Jędrus czekał cierpliwie, nie śmiejąc odetchnąć głośniejsz, by nie zdradzić swej obecności. Senność go odbiegła, cały drżał trwogą o Krysię. Ledwie zaczęło szarzeć, zerwał się z postania, okulbaczył konia i cichuteńko wyprowadził go z szopy. Niedaleko pod gruszą spał gospodarz. Zobaczywszy go chłopiec wyjął z trzosika srebrne pół talara i wsunął go karczmarzowi w zanadrze. Wyszedł wyrwą w płocie, by nikogo w domu nie budzić, i prowadząc konia za sobą, zdążył ku gościńcowi. Uszedłszy kilka stajni, trafił na kuźnię przy drodze, załatwił sprawę z podkową, wskoczył na siodło i pognął ku Warszawie. Nagle przystanął... uderzył się ręką w czoło...

— O, ja głupi... głupi... co najpierwsze, co najważniejsze, tom zabaczył! Kogóż teraz łapać? Czego szukać? Wiatru w polu? Z tego strachu i ze złości tom całe zmysły postradał.

Zawrócił konia i popędził do tej samej karczmy, skąd o świcie wyjechał. Kazał sobie przywołać gospodarza, zapytał go najpierw, czy znalazł w zanadrze pieniądze za nocleg, a gdy ten z niskim ukłonem dziękował, rzekł Jędrus:

— Zgubiłem nożyk w szopie, jakem tu nocował, a szkoda mi, bo dwa ostrza i stal przednia, od rodzicam go dostał. Żal stracić taką pamiątkę.

— Jeszczem ani zaglądał do szopy — odpowiedział gospodarz — przepatrzmy słomę, jeśliście go tutaj zgubili, to się znajdzie, nie igła przecie.

— Cicho się sprawiamy, coby onego szlachcica nie zbudzić, co śpi w alkierzu — szepnął Chwalibóg. — Długo w noc świecił, to mu teraz pewnikiem spanie miłe.

— A bo to prawda! — roześmiał się karczmarz. — Dawno po nim miejsce zastygło... Już będzie godzina, jak pojechał.

Chłopak skrzywił się nieznacznie i przygryzł wargi.

— Nie wiecie, co zacz i w którą stronę jedzie? Dognałbym go, weselej razem podróżować, samemu nudno.

— Pan z panów, tyłem wymiarkował po hojności... ale kto taki, jak się zowie. Bóg święty raczy wiedzieć. Pachołka starego miał ze sobą, lecz go wyprawił ku Sochaczewu; kędy zasię sam pojechał, nie zauważyłem, bo mię do stajni odwołano właśnie, gdy na koń wsiadał. Jakoś nie widać nożyka waszej miłości...

Jędrus schylił się, udał, że coś z ziemi podnosi, i zawołał:

— A, ot! Widzicie, zem go znalazł! No, komu w drogę, temu czas, bywajcie zdrowi! Zmitrężyłem godzinę, a pilno mi.

— Szczęśliwej drogi!

Jędrus dosiadł konia i puścił się galopem. Tuman kurzu zasłonił go przed oczyma karczmarza. Niebawem zaczęły się ukazywać pierwsze domki przedmiejskie, a w promieniach wschodzącego słońca połyskiwały krzyże na wieżach kościelnych.

Wpadł do miasta. Ani mu w myśli postało szukać panów Zborowskich... Cóż są panowie Zborowscy? Co znaczy obiór króla, gdy ziemia się zapada, świat się wali, Krysi maleńkiej, umiłowanej grozi śmierć!

Warszawa jeszcze spała; domy pozamykane, ulice puste. Uspokojony, że zdążył na porę, wolnym krokiem jechał ku rynkowi. W bramie dworca książąt mazowieckich stał odźwierny i ziewał. Chwalibóg zeskoczył z konia i podszedł bliżej.

— Niech będzie pochwalony... zdrowiście wszyscy?

— Na wieki. Dziękować Bogu, nikto u nas nie słabuje. A Jędrus, wybaczcie... pan Andrzej, po co się tłucze o świcie jak Marek po piekle.

— Co tylko zem przyjechał. Do miłościwej królowny mam ważną sprawę: późno wstaje?

— Bogać tam późno... jeszcze na prymarię* nie dzwonią, już ona w kościele. Dlatego i ja, stary, muszę się zrywać po zarankach, coby bramę otworzyć i zamieść przed domem. Jeżeli pan Andrzej pilnie chce rozmawiać, to i na ulicy was wysłucha. Jej miłość nijakiej pychy w sobie nie ma: niejedyn tu z prośbą czeka na nią co rano.

Zamilkł, usunął się na bok i zerwał czapkę z głowy.

Anna Jagiellonka ukazała się w progu domu.

Ubrana była w ciemnozieloną suknie, dokoła szyi i rękawów złotym sznureczkiem wąsko wyszytą. Na głowie miała zieloną aksamitną bieretkę, okoloną sznurkiem pereł, z prawej ręki zwisał różaniec.

Jędrus oddał konia odźwiernemu i pokłonił się czapką do samej ziemi.

— Aaaa... paż pana Sa... — zamilkła i nie domówiwszy imienia banity, którego nie chciała potępić, nie mogła uniewinnić, a który od swej najwcześniejszej młodości tylekrotnie dawał jej dowody przywiązania i wierności — westchnęła.

— Czy do mnie cię przysłano? — spytała zatrzymując się.

— Nikt mnie nie posyła, sam od siebie przychodzę i proszę najpokorniej wasza królewska miłość, by mi snadnie raczyła udzielić posłuchania w sprawie niezmiernej wagi.

— O co chodzi? — spytała królowna.

— O życie — odparł krótko Chwalibóg.

— Pójdź twoja miłość ze mną do kościoła, rozmówimy się po niszy świętej.

Upłynęła godzina, Anna Jagiellonka wracała do domu, o dwa kroki za nią szedł Jędrus. Na bladej twarzy królowny malował się niepokój: rzucała trwożne spojrzenia w boczne uliczki,

* P r y m a r i a — pierwsza msza poranna.

przystawała, oglądała się, wreszcie wbiegła spiesznie do sieni i kazała przywołać do swych komnat Kumelskiego.

Narada z panem krajczym i z Chwalibogiem trwała długo; po czym jej miłość zaprosiła obydwóch na śniadanie i przeszli do jadalni.

— Ośmielam się zapewnić miłościwą panią — mówił Kumelski — że całe a całe nie ma przyczyny do obawy. Pan Andrzej ostrzegł nas tak wcześniej, że jako się łapkę na myszy zastawia, tak przysposobimy wszystko, co potrzeba, na przyjęcie gościa.

Chciał mówić dalej, coś mu przeszkodziło. To coś... małe, chudziutkie, śniade na buzi, czarnookie i czarnowłose wbiegło do komnaty, przyskoczyło do królowny poufale jak dziecko do matki i pocałowało ją w kolano.

— Kryśka! — zawołała Anna, niby to gniewnie, i uderzyła ją lekko po rękę. — Kryśka, jak ty wyglądasz! Kosy nie zaplecione, bez zapaski, lajbiczek* nie dopięty i wpadasz mi tu jak z procy, wiesz, że tego nie lubię.

Dziewczynka spuściła oczy.

— Miłościwa pani złocista... me swarzcie! Tak mi pilno było pochwalić się...

— Ciekawam czym? Nauczyłaś się już może obrębować, he?

— Coś lepszego, sto razy le... Spojrzała przed siebie i klasnęła w rączki:

— Jędrus!

Pan Andrzej Chwalibóg stał bardzo poważny, bardzo wyprostowany i czerwony jak burak.

— Krysia! — teraz już naprawdę surowo zawołała królowna. — Sprawujesz się, jakby cię ino z lasu przywiedli! A to mi dziewczka obyczajna. co pierwsza obcego kawalera wita, i to jeszcze za pan brat, po imieniu... Idź zaraz do pani Świdnickiej, niech ci wyznaczy pokutę za nieprzystojne zachowanie się.

Krysia padła z impetem na kolana, aż jękała podłoga, objęła jej miłość za nogi i uderzyła w płacz.

— O Jezus, Jezus... tak się też źlicie na mnie... umrę od żalości!... Ptakiem do was leciałam... że już na każdej książce gładziusko czytam, chciałam się pochwalić, że już wasze umiłowane imię zdolę ślicznie napisać... Śpiewałam sobie przez drogę: pocałuje mnie, pocałuje najmiłościwsza pani! A tu masz! Miast nagrody kara... o Jezus, Jezus...

Schowała twarzyczkę we fałdy sukni królowny i zawodziła piskliwym głosem. Anna Jagiellonka spojrzała na Kumelskiego i zaśmiała się cicho.

— No, no, już się nie gniewam, już wszystko dobrze, ino daj spokój płakaniu — mówiła dobrotliwie, gładząc Krysię po główce.

Dziewczynka chwyciła rękę jej miłości, przytuliła do niej buzię i szlochała dalej.

— Krysiuniu, dość tego. Powtarzam ci, że się już nie gniewam.

— A do pani ochmistrzyni mam iść o karę się dopominać?

— Nie, nie, już tym razem i karę daruję.

— A miłujecie mnie?

— Miłuję.

— No, to mnie pocałujcie.

— Niech się pan krajczy przypatrzy, co to za koza: nabroi, nabroi, jeszcze i nagrody żąda.

Przygarnęła dziewczynkę do piersi i serdecznie kilka razy ucałowała.

— Mogę się przywitać z Je... z panem Andrzejem? — spytała Krysia, patrząc spod oka na miłościwą panią.

— Pierwsze słyszę o tej znajomości — dziwiła się królowna. Teraz Jędrus zdobył się na odwagę i kłaniając się do ziemi, zaczął:

— A bo to... za łaską miłościwej pani... — głos się rwał, odwagi było maluczko.

Za to w Krysi dzielność urosła.

* Lajbik albo lejebik — kaftanik.

— To było bardzo dawno... jeszcze wtedy, jak Pazzo przed kominem ze mną...
— A mój pan przyjechał do Łomży z nowinami o elekcji — wpadł jej w mowę Jędrus.
— A on był paziem i stał w progu. Mnie się żal zrobiło, więc...
— Więc mnie przywołała k'sobie, proszę miłościwej pani.
— A ja mu pokazałam moje lalusie i zaraz pojechał na polowanie.
— A ona siedziała w oknie i śpiewała.
— A on był moim mężem.
— A ona była moją żoną i na koronacji króla Henryka byliśmy społem.
— I przywiezie mi z wojny cudowności, drogości; tak obiecał, naprawdę'
— Z wojny, powiadasz? Hm, hm — dziwowała się królowna, przygryzając wargi.
— A tak. Więc teraz wasza królewska miłość jasno widzi i dobrze rozumie, że się już okrutnie dawno znamy.

— O, tak... widzę jasno, że nic nie rozumiem.

— W każdym razie — odezwał się Kumelski z rubasznym śmiechem — postąpili sobie według przysłowia, które powiada, że rannego wstania i wczesnego ożenienia jeszcze nikt nie żałował. Jakbym tak złożył na kupę lata onego zacnego stadła, chyba trzydziestu nie doliczę.

Kryśia postąpiła dwa kroki, Jędrus trzy kroki... popatrzili sobie w oczy... Jędrus miał czapkę w rękach... usta poruszyły się nieznacznie... szmer przeleciał powietrzem:

— Będiesz na mnie czekała?

— Będę.

Chłopiec pokłonił się w pas, dziewczyna stała chwilę z otwartą buzią, z opuszczonymi ku ziemi rękoma. Nagle zakręciła się jak fruczka* i nim się kto opatrzył, wyleciała z komnaty.

— Święte słowa miłościwej pani — rzekł Kumelski. — Jeszcze to nie panna Krystyna, ino sprawiedliwa koza. Cha, cha, cha... jak mi Bóg miły, koza!

— Teraz zasię i gdy dziecka nie ma między nami, rozważmy jeszcze sprawę, o której mówiliśmy poprzednio — rzekła Anna Jagiellonka. — Pan krajczy umyślił już pono sposób na schwywanie najemnika zbójckiego?

— Za łaską waszej królewskiej miłości zda mi się, że tak trzeba uczynić: do późnego wieczora brama stać będzie otworem, latarni nie każę świecić w sieni, rzekomo dla oszczędności; Kaspra wasza królewska miłość przywoła na górę... łącno się najdzie jakie zlecenie; inszym znów razem ja go wyślę z karteluszkim do któregoś z moich znajomych, słowem, co dzień swobodne, nie strzeżone wnijscie do dworca będzie, tuszę, zachęcało onego lotra do spełnienia swej bezecnej służby. Ino że w najciemniejszym kącie będę czyhał ja, moje oczy wypatrzą, moje ręce przy łapią mordercę. Śpijcie, miłościwa pani, spokojnie!

Minął dzień jeden, drugi, ale wieczorem nikt podejrzany nie ukazał się w pobliżu dworca królowny, pomimo że Kumelski zarządził wszystko jak najrzęczniejszy ku zachęce tajemniczego zbrodniarza.

Stary Kasper, dobroduszny i ograniczony, niczemu się nie dziwił, o niczym nie rezonował, owszem, zakaz świecenia latarki pochwalił: „Bo to Bogiem a prawda mało kto do nas zajrzy, po co drogi grosz w błoto rzucać?” Drzemał po ciemku w swej izdebce, nie troszcząc się, że brama otwarta: „Jej miłość tak chce, ano, to dobrze”.

I trzeci, i czwarty dzień upłynął zwykłym trybem; Kryśia, nieświadoma niebezpieczeństwa, chodziła z miłościwą panią na nieszpory. Tylko królownę rozboliała jakoś noga, utykała mocno i musiała się opierać na ramieniu swej wychowanki, idąc do kościoła, a Marysia Krupska i najstarszy z paziów szli tuż obok. Z powodu tej chorej nogi zapewne powracano wcześniej do domu, zawsze za białego dnia.

— No i cóż, panie krajczy? — spytała Anna piątego wieczora, spotkawszy Kumelskiego w korytarzu.

* Fruczka — bąk, fryga.

— Ha, siedzę na warcie, upatruję i czekam — odrzekł stary. — Gdybym nie znał Chwaliboga od dziecka, posądziłbym go, że mu się to wszystko śniło albo przysłyszało. Ale chłopak roztopny, nie gadałby na wiatr, jeszcze i przed miłościwą panią. Za łaską waszej królewskiej miłości idę na czaty, bo już zmierzch zapada.

— A jeśli ów człek mocniejszy od was... niech Bóg zachowa...

— Mam kij dębowy, niczego się nie boję. Coby mi się jednak z rąk nie wypsał, postaram się o pomoc.

— Pamiętajcie, o wasze zdrowie bardziej mi nawet chodzi niż o co.

Kumelski zeszedł po cichu ze schodów i schował się w najciemniejszym kacie za jednym z filarów wspierających sklepienie przedsionka. Wyteżył wzrok w kierunku otwartej bramy i czekał z niezmaconą cierpliwością.

Może tak siedział godzinę, może i dłużej; z kuchni, położonej w głębi podwórza, dolatywały głosy i śmiechy służby, czasem dziewczka przebiegła z jakimś poleceniem od Marcinowej do izby pani Wronowskiej i znowu uciszało się na chwilę.

Krajczy patrzył i nadśluchiwał. Coś zaszemrało od strony rynku... cień jakiś ukazał się w otworze bramy, powstał kilka sekund i cofnął się... Było już tak ciemno, że tylko bardzo bystry wzrok zdołał rozróżnić poruszanie się czegoś nieokreślonego przy wejściu do sieni.

I znowu szmer... jakby ostrożne stąpanie bosych nóg...

Kumelski odczuł raczej, niż dojrzał zbliżanie się człowieka... Coś przystało... za chwilę wyraźne stuknięcie...

„Aha, uderzył nogą o słupek... — pomyślał Kumelski — teraz maca rękoma, żeby znów o co nie zawadzić...”

Deski na schodach zachrzęściły. Kumelski liczył każdy trzask...

„Dwa, trzy... pięć... osiem... dziewięć... aha, przystanął na zakręcie... czeka... Poczekam i ja chwilę, cobym go nie spłoszył...”

Wysunął się po cichu zza filara, a potem szedł już swobodnie ku podwórzcu. Na kamiennej ławie przed wozownią siedziało dwóch stajennych i kuchta.

— Chłopcy... — rzekł do nich półgłosem — pójdziemy na łowy.

— Cóż to za krotochwile? — zaśmiał się Szymon, chłop jak tur.

— Śmiechu tu nijakiego nie ma: zbój się zakradł na schody. Kije do rąk, postronki mocne za pazuchę, łapać i wiązać. Ty, Kuba — zwrócił się do kuchty — idź ku bramie, ino powoluśku, coby ten psi syn nie zmiarkował, że wiemy o nim. A śpiewaj se jakiego krakowiaka, pamiętaj. Skoro dojdiesz, w te pędy bramę zawieraj, drażniem zasuń i biegnij do nas na schody, może się przydasz. Szymon, masz latarkę?

— Nie miałbym? Toli wisi na murze w stajni.

— Zaświeć i schowaj pod kubrak; dopiero przy samych schodach ją odśłoń, cobyśrny gościa w jasności powitali. Jeślim dobrze zmiarkował a nie zmylił, to go najdziemy na pierwszym zakręcie. No, gotowicie?

— Jużci.

— Kuba, naprzód!

*Płynie Wisła, płynie, do morza, do morza,
A moja Kondusia rumienna jak zorza!*

— zahuczał sobie kuchta, aż mury odpowiedziały.

Krajczy z parobkami doszli do schodów... Szymon zaświecił znienacka... skulony przy ścianie siedział człek niemłody, bosy, w łachmanach.

— A ty tu czego szukasz na schodach, zbójcekie nasienie! — wrzasnął Jacek wrywając się naprzód.

— Miłosierne ludzie... — pokornie odparł dziad — wybaczcie biedakowi! Położyłem się spać na pańskich schodach, bom nędzny żebrak, ani denara na nocleg nie mam... jutro skoro świt bylbym poszedł dalej. Czy ja wiedział, że to nie wolno?

— O, ty Judasio! Zbóju płatny... pięć dni na cię wyczekuję! — zawołał Kumelski. — Ani mi się rusz, bo łeb na dwoje rozwałę. No, chłopcy, wiązać go, a mocno!

— Zaraz, zaraz, dy nie uciekam... po co wiązać.

Zerwał się nagle, buchnął Szymona głową w piersi, pięścią Jacka między oczy, sięgnął w zanadrze, ale równocześnie uderzony pałką krajczego zachwiał się i upadł z jękiem na ziemię.

Z dołu nadbiegł Kuba, z antykamery na górze błysnęło światło, ktoś drzwi otworzył.

— Co tam za hałas? — dał się słyszeć głos pani Świdnickiej.

— Raczcie, wasza miłość, powiedziec najjaśniejszej królownie, żeśmy chwycili ptaszka! Już ona się dorozumie, o czym mowa. Jakby on skowronek nie chciał śpiewać, to się ta najdzie sposób... dowiemy się, kto go tu nasłał.

Skrepowano dziadowi ręce i nogi i wrzucono go do podziemnej komory. W zanadrze miał krótki nóż obosieczny, ostry jak brzytwa.

W dniu 14 stycznia 1576 r. odbył się zjazd w Jędrzejowie. Przybyło senatorów mnogo, przeważnie stronnictwo Batorego. Z duchowieństwa nikt się nie stawiał prócz Stanisława Karnkowskiego, biskupa kujawskiego. Rozdwojenie wprowadzie zmniejszało się z każdym dniem, ale cesarz Maksymilian miał jeszcze wiernych stronników i w senacie, i w rycerstwie.

Na tym zjeździe wysłannik siedmiogrodzkiego księcia, Hieronim Filipowski, przedstawił listy, w których Batory dziękował Polakom za ich dobrą wolę ku swej elekcji okazaną i nawzajem przyrzekał solennie wszystkie swe starania obrócić dla dobra Rzeczypospolitej.

Tedy nie tracąc czasu, wyruszono do Krakowa; tam wojewoda Piotr Zborowski przeciągnął mnóstwo wahających się na stronę Stefana Batorego. Bracia jego krzatali się pilnie, Tęczyński nie szczędził zabiegów, a przekonywające mądrością słowa Zamoyskiego łamały opór stronników Maksymiliana. Burmistrz i rada miasta Krakowa oświadczyli, że stoją do śmierci przy królowej Annie i królu Stefanie. Widząc, że się szala zwycięstwa stanowczo przechyla na stronę ich kandydata, przywódcy partii uznali, że teraz wszystko zawisło od pośpiechu. Kto pierwszy na ziemi polskiej stanie, kto pierwszy w katedrze wawelskiej ukoronowany na tronie Piastów i Jagiellonów zasiądzie, temu hołd złożą wierni poddani, ku temu się skłonią wprędce i przeciwnicy.

Gdy takie postanowienie zgodnie powzięto, czym prędzej wyjechało poselstwo polskie do Siedmiogrodu. Zawiadomiono ich w drodze, by się kierowali do miasta Megeszu, gdyż tam obecnie księcia znajdują.

Zajechawszy, prosili o posłuchanie.

Gdy weszli do sali audiencjalnej, pokłonili się nisko tuż przy drzwiach. Na trzystopniowym wzniesieniu, zasłanym perskim kobiercem, stało krzesło bogato rzeźbione i wyłacane, zakończone u góry herbem Batorych: Wilcze zęby. Ponad tarcza mitra książęca.

Stefan Batory siedział swobodnie rozparty, z rękoma na poręczach krzesła. Długie, poważne spojrzenie powitało przybyłych, zanim przemówił. Wyciągnął ku nim prawicę, dając znak, by się przybliżyli.

Wtedy wystąpił z grona posłów Ostroróg, mówca nad mówce, i w łacińskim języku przedstawił, prośbę narodu polskiego, by wojewoda siedmiogrodzki książę Stefan Batory przyjąć raczył koronę, a w zamian oddał swe serce Rzeczypospolitej. Ostroróg zakończył tymi słowy:

— Racz, miłościwy panie, wejrzeć na ciężkie sieroctwo ojczyzny naszej, cztery już lata tron bez króla... berło bez pana... my, synowie tej umiłowanej matki, bez ojca i opiekuna. Karności nie ma ni porządku, swawola krajem włada! Gdy moc Boska nie zdejmie z Rzeczypospolitej tego brzemienia, w gruzy rozpadnie się ten gmach wspaniały, przez wieki i

przez wielkich królów zbudowany. Ale właśnie miłosierdzie Boże nad nieszczęśliwi: ojczyzna wskazało nam w tobie ratunek i jedyne zbawienie. Wołamy na cię pokornym i gorącym sercem: przyjmij koronę!

Przenikliwy wzrok przyszłego króla przesunął się z wolna po twarzach posłów. Powstał i wyprostował się. Szczupły był, lecz dobrego wzrostu: głowę trzymał nieco w tył odrzuconą, co nadawało pięknemu obliczu jego wyraz rozkazujący, a całą postać czyniło wyższą.

— Witam was, panowie! — rzekł. — Witam życzliwie i wdzięcznie. Nie ino uszy słuchały waszej mowy; słuchało jej serce, rozum i wola. Serce użala się ciężkiej niedoli królestwa bez pana, rozum pojmuje, że złemu pilno zaradzić trzeba, wola rażno bieży z pomocą. Powiadomiliście mnie już dawniej o waszych zamiarach, dziś przychodzicie po odpowiedź. Krótka jest i jasna: Przyjmuję koronę, będę waszym królem. Całą duszą, wszystkimi siłami pracować chcę dla dobra ojczyzny waszej, która od dzisiejszego dnia za macierz rodzoną obieram i jako macierz miłować będę, tak mi, Panie, dopomóż.

ROZDZIAŁ VI

Z przyjazdem Stefana Batorego do Polski uspokajały się i cichły zatargi stronnictw, a po jego ślubie z Anną Jagiellonką i koronacji obojga królestwa wszystkie stany i wszystkie ziemie Rzeczypospolitej złożyły hołd nowemu królowi i przysięgały na wierność. Miasto Gdańsk jedynie, z dawna skłonne do samowoli i żądne wyswobodzenia się spod zwierzchnictwa królów polskich, uparcie sprzeciwiało się wyborowi Batorego. Gdy łagodność i wyrozumiałość do najdalszych granic posunięta nie pomagała, owszem, zuchwali mieszczanie coraz bezczelniej się stawiali, król zmuszony był poskromić buntowników z bronią w rękę. Ta wojna domowa, ciężka dla braku pieniędzy w skarbie i małej ilości wojska, trwała przeszło rok.

Ledwie król skończył z Gdańskiem, aliści doniesiono mu, że wielki książę moskiewski Iwan wtargnął do ziemi inflanckiej, dopuszcza się gwałtów i strasznych okrucieństw; zamki i miasta zagarnia pod swe panowanie.

Batory postanowił rozprawić się zbrojnie z najeźdźcą, wypędzić go z Inflant, a jeżeli się powiedzie orężowi polskiemu, przesunąć dalej ku wschodowi i północy granice Rzeczypospolitej. Z pociechą dowiedział się równocześnie, że dowódcy wojsk litewskich nie zasypiają sprawy, wypierają nieprzyjaciela i szarpią go, jak mogą.

Dnia 3 lutego 1579 wybrał się król z Warszawy do Grodna celem porozumienia się z Litwą co do wojny przeciw Moskwie. Zajechał do Mikołaja Radziwiłła, wojewody wileńskiego. Nazajutrz panowie litewscy i znamienitsza szlachta, oczekujący króla od kilku tygodni, zbiegli się tłumnie do dworca Radziwiłłów. Stefan Batory przywitał wszystkich łaskawie i rzekł: — Rad widzę, żeście waszmościowie tak jednomyślni ze mną. Żołnierzem jestem, pilno mi do mego rzemiosła.

— I nam!

— I nam!

— Pójdziemy w ogień za wami, najmiłościwszy panie!

Król, który w całym swym życiu skromny był, nienawidził niepotrzebnych ceremonii, gardził wystawnością tak w sprzętach, jak w ubiorze, a w obejściu z każdym, czy niskiego, czy wysokiego stanu człowiekiem, odznaczał się uprzejmą prostotą, dziś także nie chciał zasiadać na wzniesionym krześle. Chodził swobodnie po komnacie, zapoznawał się to z tym, to z owym, przemawiał do szlachty przyjaźnie i jednał sobie szczerze i proste serca Litwinów.

Gospodarz domu zbliżył się do najjaśniejszego pana i rzekł:

— Raczcie zezwolić, miłościwy królu, bym was uweselił dobrymi nowinami.

— Jakież to nowiny? — spytał Batory ciekawie.

— Zechciejcie postąpić dwa kroki i wyrzeć oknem. Co tam stoi wzdłuż murów? Sześć armat, zdobyłem je pod Kesią. Będzie czym twierdze szturmować, choć ta i swoich nie zbraknie.

— Dajże wam, Boże, zdrowie! Prawdęście rzekli, wesoły to widok.

— Nie na tym koniec, miłościwy panie; syn mój Krzysztof — dziś właśnie pismo otrzymałem — wjechał dobrze głęboko w zajęte przez Moskwę Inflanty, zamek Kerepet zdobywszy zburzył, liczne jeńce pobrał, a co najważniejsze, bydła sztuk kilkanaście tysięcy prowadzi. Przyda się dla naszego żołnierza.

— Mości wojewodo, już mi teraz co złego zwiastujcie: starzy ludzie powiadają: „Siejba ze śmiechem, żniwo z płaczem”. Niechże się aby krzyne posmucę.

— Oj, nie, miłościwy panie; co najucieszniesze — schowałem na sam ostatek. Ino mi dziwno, gdzie się podział autor onego arcygrzecznego pomysłu, którego opowieścią chcę was uradować... Hej... panie bracie... mości starosto! Pilno was wzywamy! — zawołał do stojącego nie opodal olbrzymiej postaci szlachcica z opadającymi aż na piersi rudymi włosami.

— Taj coże znów takiego! — huknął tamten tubalnym głosem; lecz spostrzegłszy pod oknem króla, którego mu tłumnie zgromadzone rycerstwo na sali zasłoniło, uderzył się ręką po ustach, utorował sobie drogę dwoma rzutami ramion, stanął przed królem i pokłonił się czapką do ziemi.

— Pozwólcie, miłościwy panie — rzekł Radziwiłł — bym zlecił waszej łasce przyjaciela mego: Fedor Puciata, starosta mitański.

— Lepszej waszmość nie możesz mieć rekomendacji jako ta, żeś przyjacielem wojewody wileńskiego — rzekł Batory z serdeczną uprzejmością.

— No, po cóżem was tu wołał, panie bracie? Opowiedzcie miłościwemu królowi wasze sprawy.

— Oj, Bożeż ty mój... tak co gadać? Nie warto ani gęby strzępić: szkoda królewskiej osobie czas zabierać na takie błazeństwa.

— Nie chcecie, to ja opowiem; ale jakbym co zmylił...

— Nie dajcie się prosić, panie starosto — dodał król — ciekaw jestem okrutnie.

— Ha, *skaczy, wraże, jak pan każe** — mruknął Puciata po rusku, a głośno rzekł: — Ta coże? Niedługo nudząc najmiłoścowszego pana, zwięzłe powiem: Miasto Dynaburg odbiłem Iwanowi bez krwi rozlewu. Ot, i koniec.

— I powiadacie, że nie warto o tym gadać? — zdziwił się król.

— Prawdę gadam. Napracowałeś się dniem i nocą, pod gradem kul, naraziłeś karku twierdzą zdobyć — to rozumiem., to chwala; ale tak...

— Więc jakże to było?

— Trzysta ino chłopów miałem, to i nie zbliżałem się pod mury, bo *skuczno** porywać się z motyką na słońce. Tak co ja nie robiąc? Ładuję na wóz szesnaście wiadrówek okowity: „*Hryńko* — gadam do mego pacholika — *pojdziesz w hostynu*”*. — „*Pojidu, pane*” — gada Hryńko. I pojechał. Białą chustkę do biczyska przywiązał, widzieli z murów, że bezbronny, dopuścili aż pod bramę. „*Piśmo wid starosty*”* — gada do nich i podaje kartelusz ode mnie. Stało tam, jak znając przewagę załogi, a bardziej jeszcze srogi animusz moskiewskiego wojska, nie kuszę się o dobywanie twierdzy i wracam, skądem przyszedł. Na znak zaś, że im zdrowia i wszelakiego dobra życzę, posyłam im w podarunku nieco gorzałki, coby wypili na cześć swego kniazia” a nas uchodzących nie ścigali.

Urwał i ręką machnął pogardliwie.

— No i cóż się stało? — spytał Batory.

— Co? Opiły się, psie syny, na umor. Tej samej nocy przystawiliśmy drabiny, wleźli na mury, a oni spali wszyscy niczym, te kamienie. Żeby jeden się zbudził... ni! Tak porzneliśmy ich pięknie jak baranów.

— Jakże to? Mówiliście przecież, że bez krwi rozlewu?

— *Jej Bohu*, bez krwi rozlewu! Z moich mołojców żadnemu włos z głowy nie spadł... jakem Fedor Puciata.

Na drugi dzień nowa była narada. Chodziło o prowianty i pieniądze na koszt wojny. Stefan Batory przewodniczył. Reszta rycerstwa na ławach pod ścianami, w zagłębieniach okien albo i stojący przepełniała salę.

— Wiadomo waszmościom — rzekł król — że Korona złożyła już na cele wojny pół miliona złotych; zali Wielkie Księstwo Litewskie postanowi jakie podatki na tę potrzebę?

— Już uchwalone! — zawołał Sapieha.

— Grosz się sypie, nie damy się prześcignąć Koronie! — dodał Konstanty Łaba.

— Co ino potrzebne, wszystkiego dostarczymy! — rzekł Montwiłł.

* *Skaczy, wraże, jak pan każe* (ukr.) — skacz, wrogu, tak, jak pan każe.

* *Skuczno* (ukr.) — przykro.

* *Pojdziesz w hostynu* (ukr.) — pójdziesz w goście.

* *Piśmo wid starosty* (ukr.) — pismo od starosty.

— Ja się podejmuję przystawić trzystu chłopów z siekierami, motykami, rydlami do robót obłężniczych! — krzyknął. Koszewski.

— Ja dwustu! — rzekł Kiszka.

— I ja dwustu! A mój brat tyleż zobowiązuje się — oświadczył Rudowski z Nowogródka.

— My zgromadzamy prowianty! — zawołało kilku naraz — Główna koncentracja zapasów, jako i amunicji w Świrze. Ta sprawa już przez pół załatwiona.

— Szczęść nam, Boże! Przy takiej ochocie i gotowości zwyciężymy wroga niechybnie! — zawołał Stefan Batory drżącym od wzruszenia głosem. — Ja także dokładam ręki do przygotowań, zanim w pole wyruszymy. Pisałem do Poznania, aby mi natychmiast przysłali człeka sprawnego, o którym doniesiono mi, że znamienicie umie proch przyrządzać; obiecałem hojną płacę, mam odpowiedź, że już wyjechał; lada dzień się tu stawi. Ruśnikarzó^{*}, płatnerzó^{*} zdatnych mam także; Włocha niektórego, co kule ogniste przyprawia, wiozę z sobą. Z Krakowa, Poznania i z Warszawy już wysłano fury z bronią wszelaką. Armaty z Malborka i Gdańska idą morzem do Niemna, potem wołami do Dżwiny i znowuż wodą do Dźwiny.

— Niech żyje nasz król! Nasz hetman nad hetmany! — krzyknął ktoś w tłumie.

— Niech żyje! — powtórzyli wszyscy za nim.

— Niech nas prowadzi!

— Hajże na Moskwę!

— Zwyciężymy!

— Niech żyje król Stefan!

A że to okna, choć w lutym, lecz dla gorąca w izbie były pouchyłane, przeto ludność gromadząca się pod dworem Radziwiłła dosłyszała owe okrzyki i niebawem całe miasto zawrzało wojennym zapalem. Rojno było na rynku, po ulicach kupili się Judzie i rozprawiali o wojnie; gwar się wzmagął, gwar wesoły, ochoczy, serca były gorączkową żądzą walki.

Było to dnia 30 sierpnia, późnym wieczorem. Cisza panowała w obozie polskim pod Połockiem; wszystko spało twardym snem ludzi ciężko spracowanych. Przez cały dzień dzisiejszy wrzał krwawy bój... Oblegające od trzech tygodni Połock wojska polskie, litewskie, węgierskie i najemne rzuciły się dziś z wściekłością do szturmów. Odparci przez załogę twierdzy, tyle jednak szkody zrobili w murach i palisadach, że tak hetmani, jak i pospolity żołnierz, wszyscy przewidywali pomyślny koniec, czyli zdobycie miasta, niechybnie na dzień jutrzejszy.

Straże porozstawiane co pięćdziesiąt kroków czuwały nad bezpieczeństwem obozu. Ponieważ od strony głębokiej i szerokiej Dźwiny dostęp do miasta był niemożliwy, przeto armia obłężnicza rozłożyła się po obu brzegach Poloty, rzeczki płytkiej, mającej kilka brodów. Po jednej stronie rozbili namioty Węgrzy, część polskiego i litewskiego wojska. Za rzeką, w potrójnym kole namiotów, otoczywszy się dwoma rzędami wozów, reszta wojska.

Namiot króla Stefana, niczym prawie nie różniący się od innych, stał w samym środku. Przez szczeliny w płótnie migotało światło; przed wejściem stał żołnierz.

Mąż jakiś wspaniałej postaci, w sukiennej delii zarzuconej na ramiona, zbliżył się doń, wymówił hasło z cicha, a potem spytał:

— Miłościwy pan śpi?

— Nie; przed chwilą wyszedł pan rotmistrz Bekiesz, a tylko co słyszałem, jak najjaśniejszy król kazał sobie podać nowe świece.

Rycerz wszedł do przedsionka i kazał dworzanom spytać, zali go miłościwy pan raczy przyjąć; po chwili wszedł cicho i stanął w progu. W pośrodku namiotu, przy stole zbitym z desek umocowanych na czterech nie ociosanych pniakach, siedział Stefan Batory z głową

* Ruśnikarz — rzemieślnik wyrabiający broń palną i lejący działa.

* Płatnerz — rzemieślnik wyrabiający zbroje.

wspartą na rękę i czytał. W mosiężnym dwuramiennym lichtarzu paliły się woskowe świece. W kącie łoże — raczej małe, wąskie, żelazne łóżko, na nim siennik, skórzana poduszka i gruba wełniana derka. Oto były sprzęty i ozdoby namiotu królewskiego.

Gość odchrząknął z cicha, król podniósł oczy od książki.

— A... pan hetman... jak to dobrze, żeście przyszli, pogadamy.

— Obawiałem się wejść; mniemałem, że po takich trudach dawno spoczywacie, miłościwy panie. Dopiero ujrzawszy światło, ważyłem się wstąpić.

— Nie pomyliliście się, wojewodo; odpoczynku miłego zażywam po pracy — odparł król.
— Oto siedzę w ciszy, wygodnie.

Hetman Mielecki uśmiechnął się nieznacznie; dostrzegł ten uśmiech Batory.

— No tak, powiadam: wygodnie, gdy się cały dzień stoi niczym karbowy przy żniwie, gdy nie ma czasu ani jeść, ani przysiąść na ćwierć godziny, gdy człek własnego głosu wśród onych wrzasków, jęków i huków nie słyszy, to błogość serce ogarnia, że się ma bodaj taką sękatą deskę za ławę; można się przynajmniej opamiętać nieco w cichości tych wiotkich ścian. Ciało odpoczywa i dusza... .

— Dusza? Czytaliście przecież...

Król podsunął milcząc księgę ku hetmanowi.

— *"Commentari de bello Gallico"** ... Pisma Cezara?

— Tak jest. Przyjaciel to mój wierny; dzieła jego muszą mieć zawsze pod ręką, gdziekolwiek przebywam. W gniewie łagodzi mnie, w smutku rozrywkę daje, naukę czerpię, roztropności nabywam. Zda mi się, że duch mój w jasności żywie, gdy tego wielkiego ducha czuję w pobliżu siebie.

Mielecki słuchał z podziwem tej mowy.

— O najmiłościwszy panie... przy was żyć, waszych rozkazów słuchać — to także w jasności przebywać!

Batory zamknął księgę i odsunął ją na bok.

— Jak myślicie, będzie temu koniec jutro? Co dzień upatruję białej chorągwi, toć szpiegi powiadają...

— Łgarstwo jest, co szpiegi donoszą, dziś to sprawdziłem. Bajkują, aby ino zapłatę otrzymać, a /zaden poza koniec nosa nie widział. Dziś przytrzymano zbiegów z fortecy, tych darowałem zdrowiem, byle prawdę powiedzieli.

— I .cóż?

— Załoga liczna, dzielna, mało co mniej niż sześć tysięcy ludzi. Szeremetiew, Łuków, Krywoborski, książę Palecki — wszystko to doświadczeni starzy wodzowie. Piotr Wołyński chce układów, ale tamci ani sobie gadać nie dadzą o poddaniu. Prochu i kuł na pół roku starczy, żywności w bród. Oto, czegom się dowiedział od tych ludzi. Ino jedno haniebnie się stało, zem nie zdołał słowa dotrzymać biedakom...

— Jakże to?

— Ano dostawszy języka, puściłem wszystkich dziesięciu wolno. „Idźcie z Bogiem, gdzie oczy poniosą”. Nawet ich kazałem wyprowadzić dobry kawał za obóz...

Urwał, zmarszczył brwi, przesunął ręką po twarzy i odetchnął głęboko.

— Coś wam srodze dolega, wyrzucicie tę gorycz z siebie.

— Uciekały, chudziaki, rade, że śmierci umknęły, a tu srozsza ich w polu czekała niż za murami.

— Co powiadacie?

— Wiadomo wam, najjaśniejszy panie, że załoga moskiewska chwyciwszy cztery dni temu kilkunastu oblegających Niemców z naszej piechoty najmniejszej...

* *"Commentari de bello Gallico"* (łac.) — dosł. „Rozważania o wojnie z Galiami”, dzieło Juliusza Cezara (100—44 pn.e.). Współczesny Batoremu historyk K. Heidenstein w „Pamiętnikach o wojnie moskiewskiej” wspomina, iż król „lubił najbardziej Cezara i ciągle go miał pod ręką”.

— Tak, tak, wiem, umęczyli ich okrutnie i wyrzucili ciała do Dźwiny.

— A nasi patrzyli na to, zgrzytając zębami. Tak i pomścili swych towarzyszy na onych dziesięciu zbiegach. Skoczyli za nimi w pole, zakłuli spisami i porąbali na sztuki, mimo że tamci o ziemię się rzucali i zmiłowania błagali.

Król się zachnął.

— Ukaraliście surowo bezecników?

— Miłościwy panie, odwet wojenny... pomsta za braci... nie umiałem być srogim... wyznaję.

Batory brwi zmarszczył, ale nic nie odrzekł; po chwili mówił:

— Z tego, coście się dowiedzieli, konkluduję*, że nadzieja nasza ino w zburzeniu murów a wałów... inaczej twierdzy nie dostaniemy.

— One wieże drewniane, które im kniaź Iwan dał pobudować, to nasz wróg najgorszy. Te zniszczyć, a Połock nasz.

— Nie zapominajcie, panie hetmanie, że ich kule ogniste nie mają dobrego lotu; padają blisko, nie doszedłszy celu, a ledwie co czwarta się rozpęka. Zaś nasz mistrz Rudolfino* w swym tajemnym warsztacie wielką nam posługę uczyni. Jego kule niczym sępy z rozpędem lecą, a upadłszy na ziemię, wybuchają i śmierć niosą.

— Na te kule mistrza Rudolfinia ja też najbardziej liczę; zanim do was przyszedłem, miłościwy panie, byłem u niego. Czarodziej to chyba: już ich znowu ma gotowych około czterystu, ażem się zdumiał. Tak mu ta praca składnie idzie, a ino swego głuchoniemego brata ma do pomocy. Bóg raczy wiedzieć, co za pioruny ten człek w onych kulach zamyka.

Gwar pomieszanych głosów, gniewne krzyki zbliżały się ku namiotowi królewskiemu.

— Raczcie wyjrzeć, panie hetmanie, co się tam dzieje — prosił król.

Mielecki wyszedł na pole.

— Co to za hałasy? Jak śmiecie?

Czterech żołnierzy przystąpiło doń; jeden z nich trzymał latarkę. Prowadzili młodego człowieka w wiejskim ubraniu, ze skrępowanymi w tył rękoma. Pokłonili się i czekali w karnej postawie, aż im jego wielmożność mówić pozwoli.

— Co to za człowiek? — zapytał.

— A szpieg moskiewski chyba, nie co inszego — rzekł najstarszy z żołnierzy. — Pojmaliśmy go, jak się przemykał po ciemku między wozami, hasła nie zna, tłumaczyć się nie umie. Podpatrzyć co chciał albo podsłuchać, a może i uśmiercić kogo... znacznego, bo w tę stronę się kierował.

— Krócić miał za pasem i nóż za pazuchą, o, jaki ostry! — dodał drugi żołnierz.

— Gadaj, co tu robisz? — surowo przemówił Mielecki do chłopca.

— Nic dziwnego, żem hasła nie znał — rzekł młody człowiek po polsku. — Z daleka idę. Szpiegiem nie jestem, ino bić się chcę za sławę ojczyzny umiłowanej. Z głębokiej Rusi jechałem, koń mi padł w drodze, przebrałem się po wiejsku, bo tak bezpieczniej. Wszedłem do obozu, nie wiedziałem, gdzie się obrócić, aż i schwytali mnie. Szlachcic jestem, Andrzej Chwalibóg się zowie.

— Łacno to podszywać się pod uczciwe nazwisko, gdy cię nikt nie zna. Sprawa nieczysta... nie o sławę ci chodzi, ino o niecny zarobek... szpiegować przyszedłeś, szpiegowską zapłatę otrzymasz. Na śledztwa. i sądy nie ma tu czasu: postronek, gałąź i koniec.

— Upraszam waszej wielbności o jedną łaskę ino, raczcie mnie postawić przed panem kasztelanem gnieźnieńskim, ten mnie zna.

— Przypatrzcie się, wasza wielmożność, jaki to psi syn mądry... — zaśmiał się żołnierz.

— Powiadomiony, co się w obozie dzieje, jakby zjadł z nami beczkę soli.

* K o n k l u d o w a ć — wnioskować.

* W y n a l a z c a k u l e k s p l o d u j ą c y c h , R u d o l f i n o , p r z e b y w a ł w o b o z i e S t e f a n a B a t o r e g o (p r z y p . a u t .) .

— Chce zyskać na czasie, coby mógł uciec przed stryczkiem — dodał drugi.

— O kasztelana gnieźnieńskiego się dopominasz? Nie ma go w obozie — rzekł hetman krótko.

— O mój Boże... a gdzie? W jego pułku chciałem służyć.

— Mogę ci to powiedzieć, bo i tak nie wyjdiesz stąd żywo. Kasztelan Zborowski stoi z trzema chorągwiami na drodze do Sokoła, by nie dopuścić stamtąd odsieczy obłożonym. Po moim znać, żeś Polak, w hańbie się tarzasz, płatny szpiegu moskiewski. Wyprowadzić za obóz i powiesić — rzucił rozkaz żołnierzom i odwrócił się z obrzydzeniem:

— O Mario Częstochowska, ratuj! — krzyknął rozdzierającym głosem Chwalibóg, ale żołnierze popchnęli go przed siebie i szturchając w plecy kolbami przesuwali się ciasnym przejściem pomiędzy gęstwą namiotów.

Płócienna płachta, rzucona niecierpliwą ręką, odgięła się na bok, przed namiotem stanął król.

— Kto to wołał ratunku tak żałośliwie? — spytał Mieleckiego.

— Schwytano szpiega, kazałem go obwiesić — odpowiedział hetman.

— Moskwicin?

— Niestety, Polak. Kłamstwem się zaśłania, Zborowskiego na świadka wzywa, musiał wiedzieć, że onego tu nie masz.

— Podał nazwisko?

— Jakoby Andrzej Chwalibóg, ale to...

Stefan Batory chwycił Mieleckiego silnie za ramię.

— Rany Chrystusa... co żeście uczynili, panie hetmanie! Toć i ja znam tego człowieka! .

— Hej, ty!... — zawołał król do żołnierza na warcie. — Biegaj za nimi... niech wracają natychmiast! Pojmanego puścić wolno... Wiesz, którądy poszli?

— Widziałem, miłościwy panie; już oni daleko... a ciemno... nie dogonię. .

— To krzycz, wołaj, co ino masz sił... wołaj cięgiem: „Chwalibóg!” Zrozumieją przecież i zatrzymają się! Wracać mi co żywo!

Kilkanaście minut oczekiwania, grozy, męki, wreszcie jakiś szmer ledwie dosłyszalny... potem coraz głośniejszy... miarowy chód żołnierzy, światło latarki mignęło z daleka...

Westchnienie ulgi wydarło się z piersi hetmana i króla.

Andrzej Chwalibóg uwolniony z więzów runął na ziemię i objął króla za kolana.

— Boże Wszechmogący... toć zem się wyprosił ze służby, pana porzuciłem, ptakiem pędziłem do onej wojny świętej... bić wroga, choćby żywot dać za matkę jedyną! A gdyby nie wy, najmiłociwszy panie, byłbym zginął bezecną śmiercią, gorzej psa!

Przytulił twarz do kolan królewskich i szlochał głośno.

— Mości Chwalibóg... wybaczcie... zgrzeszyłem ciężko przeciw wam... — jęknął hetman. — Nie pamiętajcie mi tej krzywdy... Na Boga ukrzyżowanego was zaklinam, podajcie mi rękę!

Młody człowiek podniósł się z klęczek, wbił oczy ponuro w ziemię i potrząsnął głową przecząco.

Batory położył mu rękę na ramieniu łagodnie i uśmiechnął się.

— A to co za żołnierz, co hetmana nie słucha? Jeszcześ do naszego zakonu nie przystał i od buntu poczynasz? Za karę mianuję cię przybocznym ordynansem jego wielmożności, mianuję cię prawą ręką pana hetmana.

Mielecki nie czekał odpowiedzi, objął chłopca w pół i przycisnął do piersi.

— Zdejmijże mi ten kamień ze serca — prosił — jutro dzień sądu dla wielu, może i moja godzina wybije... uzał się mej siwej głowy... synu!

Tego już nie mógł znieść Jędrus obojętnie. Ileż to lat minęło ód śmierci ojca! Ile już lat nikt mu nie powiedział... synu!

Schylił się pokornie jak dziecko i pocałował hetmana w rękę.

Ledwie świtało, gdy się szturm na nowo rozpoczął. Kule mistrza Rudolfiną, wyrzucane z armat oblężniczych, szerzyły popłoch w załodze Połocka. Odległość strzału była tak wymierzona, by każda z tych kul trafiła do wnętrza twierdzy, a każda padając wybuchła i słała wokół siebie trupy i ciężko rannych.

Stefan Batory po naradzie z pułkownikiem Bekieszem, hetmanami Zamoyskim i Mieleckim kazał ruszyć piechotnym oddziałom na zdobycie bardzo przez poprzednie walki nadwerężonej warowni.

Trąbki zagrały, bębny zadudniły, wojsko biegło z wściekłością na szańce. Podwójna . dębowa palisada, wypełniona wewnątrz, kamieniami i gliną, leżała w wielu miejscach rozwalona i potrzaskana, a wśród szturmów, dzień w dzień czyniących wyrwy, nie mogli oblężeni nadażyć z naprawą. Ku tym to gruzom pędzili jakby szaleńcami gnani żołnierze.

Już dosięgali niemal fosy zasypanej do równości przez oddziały robotnicze, gdy spod wysuniętego bastionu przez furtę wypadło z twierdzy mrowie Moskwiczinów z okrzykiem „Hura” i się jak klin w żelazny pierścień polskiej piechoty, która tą niespodziewaną wycieczką stropiona jęła się mieszać i cofać z popłochem. Zachęcenie powodzeniem połączenie parli naprzód i byliby rozerwali rotę polską, gdy na znak dany przez króla Zamoyski na czele piechurów z ukosa rzucił się z całym impetem, aby odciąć odwrót wycieczce.

Spostrzegli się połączenie. Pod gradem kul ludzi Zamoyskiego cofali się czym prędzej, a już naderwany w tym miejscu krąg oblężników zrosł się na nowo i pędził ku palisadom.

Zaczęto przystawiać drabiny, na które z trudem wdzierali się polscy żołnierze, prażeni z góry kulami, zlewani wrzątkiem i strugami roztopionej smoły. Najgorzej jednak do zdobycia twierdzy przeszkadzała owa drewniana wieża, z której strzelcy połoccy razili oblegających w sposób straszliwy. Co chwila z drabin osuwały się trupy, strącając swym ciężarem poniżej stojących żołnierzy. Zdawało się, że i ten szturm, jak poprzednie, skończy się odwrotem.

Przed króla wysunął się z jego otoczenia Węgier Piotr Racz i zaczął o coś usilnie upraszać, ale hetman Mielecki nie umiając po węgiersku, nie rozumiał ani słowa. Stefan Batory zwrócił się doń i rzekł:

— Mój Racz chce zebrać ochotnika i pójść .podpalić wieżę.

— O panie miłościwy... niech idzie, niech idzie!

Jakoż po niedługiej chwili ujrzano setkę piechoty gnającą ku drewnianej wieży, wznoszącej się ponad palisadą. Hetman wyteżył wzrok...

Każdy żołnierz miał przytwierdzoną na piersiach ogromną wiązkę chrustu, która go niemal całego zasłaniała. Górą przez szpary widzieli drogę przed sobą, więc rażno i pewnym krokiem biegła ta garstka zuchwalców. Mielecki nie spuszczał z nich wzroku.

A spoza gruzów palisady, z okienek wieży biły kule...

Mały hufiec zaczął się pięć na wał. Mielecki przysłonił oczy rękoma od blasku słonecznego i patrzył, patrzył... Jeden ze śmiałków zesunął się z pochyłości wału i już nie powstał... Za chwilę padło trzech, znowu jeden, znowu dwóch; towarzysze ani się zatrzymali, tylko w górę a w górę.

Przystanęli u stóp wieży. Hetman liczył sekundy przyśpieszonym, huczącym w uszach biciem swego serca.

— O Chryste Panie! Pięciu spada z wału... toż ani jeden z życiem nie ujdzie!

Każdy żołnierz odpiął połowę chruścianego pancerza i wtykał, gdzie trafił, w szczeliny między deskami...

Przybiegli jak burza; pomknęli z powrotem jak wicher, a w miejscu, gdzie stali przed chwilą, zaczęły się ukazywać szare, skręcone w śrubę, kędzierzawe dymy. Niebawem biały obłok przysłonił trzypiętrową, sterczącą nad ostrokołem wieżę, a na tle białego obłoku ślizgały się brudnoczerwone plamy.

Zmora oblegających rozwiewała się z dymem, straszna wieża płonąła.

Obrońcy z krzykiem rozpaczli rzucili się na ratunek, ale na próżno usiłowali zgasić płomień obejmujący beluardę*; jej drewniane wiązania strzelały w górę słupami ognia, pióropuszcami dymu.

Pan Racz z oczyma krwią nabiegłymi, okopcony jak diabeł, powracał na czele garstki swoich ochotników, krzycząc i wymachując rękoma w stronę pożaru...

— Patrzcie, wasze wielmożności, jak to wicher pięknie dokonywa, cośmy szczęśliwie zaczęli! Upieką się, upieką, bo ani moi wytrzymać nie mogli!

Rudolfino jął kierować wyrzucaniem kul ognistych z furia zdwojoną. Leciały w górę z sykiem złowieszczym, pękały nad miastem i spadały, niecąc pożogę wśród ulic drewnianych. Skorzystali polscy wojownicy z popłochu nieprzyjaciół oszalałych wśród pożaru i walki. Już na drabinach pełno było ludzi, którzy słabo spychani dosięgali wierzchołków palisady, pchali się przez wyręby, pełni animuszu, porwani zwycięskim impetem.

Nad miastem, na baniastej kopule cerkwi Św. Zofii, ukazała się biała chorągiew.

Jędrus Chwalibóg powracał wśród ochotników pana Racza.

Upojony walką, usmolony dymem, opamiętał się dopiero na widok jego królewskiej mości. Straszno mu się zrobiło na sercu.

Kiedy spostrzegł zastępy młodzieży, wrywającej się ku śmierci pod wodzą mężnego Węgra, krew mu buchnęła do głowy, nie mógł wytrzymać... Zeskoczył z konia i pognął z nimi razem.

Teraz dopiero ochłonął.

— O ja nieszczęśliwy... gdzieżem miał rozum!... Gdzieżem miał upamiętanie!... Król miłościwy raczył mię w swej łaskawości uczynić ordynansem pana hetmana, a ja... Za nieposłuch zawsze surowa kara... a dopiero w wojennym czasie... w godzinie bitwy!.. To tak jakbym uciekł z pola!... Gorzej jeszcze.

Aż tu obaj hetmani zabiegli drogę powracającym z ognia ochotnikom. Pan Zamoyski pochylił się z konia i podał rękę Raczowi.

— Pójdźcie waszmościowie wszyscy do najjaśniejszego pana, niech się jego serce rozraduje, że Węgrzy powiedzieli w dzisiejszym szturmie ostatnie słowo.

— Prawdy się trzymając — to Węgrzy i Polacy — odparł Racz. — Mam tu trzech robotników zacnych, co za dziesięciu stoją — i wskazał na idących tuż za sobą: — Wąsowicz, Łapczyński i Chwalibóg.

— Co takiego? — zawołał Mielecki marszcząc brwi groźnie! — Pójdź waszmość ku mnie, na słowo. Raczcie, panowie, nie zatrzymywać się — rzekł do Zamoyskiego i ochotników — król jegomość czeka; my się tam stawimy za chwilę.

Odeszli.

— Co to było? — krzyknął ostro do swego adiutanta.

— Panie hetmanie...

— Jak śmiałeś się dopuścić takowego zuchwalstwa! Wysłałem cię z rozkazem do pułkownika Montwiłła, a ty...

— Rozkaz zaniósłem, panie hetmanie...

— A potem? Samopas, gdzie wola, prawda? Piękna subordynacja! Ciekaw jestem, co król na to powie? A ja cię oplakałem jak prawego żołnierza, mniemałem, że w powrocie padłeś od kuli...

— Miałem ich cały deszcz nad sobą, panie hetmanie... — wyjąkał Chwalibóg.

— Służba samowoli nie cierpi.

Jędrus chwycił za strzemień i pocałował Mieleckiego w kolano.

* B e l u a r d a — narożnik obronny.

— Wiem, zawiniłem, zgrzeszyłem... ten jeden, pierwszy i ostatni raz mi wybaczcie.
W twarzy hetmana coś drgnęło... przymknął oczy.

— Nie, nie przebaczę — szarpnął wąsy, odetchnął z fukiem. — Pójdź do króla!

Przed namiotem Mielecki zsiadł z konia. Stefan Batory z rozweselonym obliczem rozmawiał z ochotnikami; Racza miał tuż przy sobie i trzymał mu poufale rękę na ramieniu. Twarz dzielnego Węgra gorzała dumą. Król jegomość własną szablę odpasał i na pamiątkę mu podarował. Wąsowiczowi szlachectwo nadał, Łapczyńskiego Jan Zamoyski do swego herbu przyjął. Wszyscy inni otrzymali od króla i hetmanów upominki drogie.

— Najmiłociwszy panie — rzekł Mielecki dziwnym jakimś głosem — przyprowadzam tu jeszcze jednego. Raczcie spojrzeć... ten Murzyn to mój ordynans Chwalibóg.

— Gdzież to waszmości tak usmolono? — zaśmiał się król. Jędrus drżał na całym ciele. Ach... co go czeka? Degradacja w obliczu całego wojska, potem wieża, a może... coś jeszcze straszniejszego!...

— Nie dziwujcie się, miłociwy panie, słabości mej; tak się poganin spraszał, tak się rwał na ono podpalenie... co miałem czynić... pozwoliłem.

Chwalibóg padł jak długi na ziemię twarzą do nóg hetmana.

— A mnie go wasza miłość ustąpicie na kilka tygodni? Pokornie was proszę! — rzekł król żartobliwie. — Pismo mam do miłociwej małżonki z opowieścią o wiktorii dzisiejszej, a znam Chwaliboga, jako jest do wożenia listów jedyny.

— Niech jedzie. A kiedy wraca?

— Myślę, że dwadzieścia dni aż nadto wystarczy, choć do Warszawy kęs drogi.

— Według woli waszej królewskiej miłości.

Podniósł nieznacznie palec w górę i spojrzał na stojącego na boku Chwaliboga.

— Za dwadzieścia dni o tej godzinie!... — rzekł półgłosem. — Przekonam się, zali nauka nie poszła w las.

— O tej godzinie. Chybabym nie żył.

Dnia 9 września rano paż oznajmił królowej posłańca z listami. Anna Jagiellonka kazała go natychmiast wpuścić do swej komnaty.

Przy oknie, odwrócona do drzwi plecami, haftowała na krosnach panienka.

Chwalibóg stanął u progu, lecz nie miał siły czekać w milczeniu, póki go nie spytają, tylko rozradowanym głosem zawołał:

— Najmiłociwsza pani... Połock wzięty!

Na ten wykrzyknik odpowiedział pisk przeraźliwy, panna dworska zerwała się z ławy.

— Święta Patronko!

I stanęła jak wryta.

— Przeczytam list za chwilę — rzekła królowa. — Powiadaj prędko: zdrów pan miłociwy? Nic mu się nie przygodziło w tym wojennym upale?

— Najlepszym zdrowiem się cieszy; a odkądśmy weszli do zdobytej twierdzy, łaskaw na wszystkich, wesół, mowny, aż serce rośnie nań patrzący,

— No, a tobie jak wojna smakuje? — z uśmiechem spytała królowa.

— Miłociwa pani... ani w niebie nierad bym co inszego czynić, ino wojować. Człek żyje siedmiogrodzkim życiem! To jedno bieda, że nie ma czasu myśleć o niczym... — spojrzał spod oka na Krysię — chyba rano i wieczór przy pacierzu.

Anna Jagiellonka uśmiechnęła się.

— Anioł Pański w południe takoz pobożnie odmawiasz? No, Krysiu, dziś pozwalam przywitać pana Andrzeja.

Podali sobie ręce.

— Waszmość co dzień... wszak na wojnie mogą zabić, zastrzelić, zarąbać, wojna taka straszna...

— Wróć zdrow, niech panna Krystyna będzie spokojna — zerknął na bok, miłościwa pani czytała list pilnie. — W złotogłów cię oblokę, diamentami obsypię... umiłowanie moje!

ROZDZIAŁ VII

Po wyjściu za mąż Kachny Leszczyńskiej podrastająca Krysia zajęła jej miejsce. Wprawdzie Marysia Krupska zawsze była niezbędną i najpotrzebniejszą we wszelkiej pokojowej usłudze i przy ubieraniu miłościwej pani, ale znowu żadna z dworek nie czytała tak pięknie ani też śpiewać przy lutni nie umiała tak wdzięcznym głosem jak Krysia.

Dziewczyzna ukochała królową gorącą, pokorną miłością od pierwszej chwili, gdy ją Anna pieśczośliwą ręką przygarnęła do siebie. Wzrastając w lata, rozumiała coraz lepiej swoje sieroctwo bezimienne, zwłaszcza że nieraz dostał jej się gorzki docinek od panien dworskich, zazdrosnych o łaskę królowej. Za to właśnie serdeczne wyróżnienie, za służbę przy boku jej miłości Krysia wdzięczna i całą duszą oddana, gotowa była w przepaść skoczyć dla swej najlepszej opiekunki i pani.

Smutek i czarne myśli chowała na swobodne nocne godziny we dnie swym dziecinnym szczebiotaniem, śpiewkami spędzała zadumę z czoła królowej, a gdy zgryzoty zasepiały oblicze Anny Jagiellonki, Krysia klękała u jej stóp i z przymileniem tuląc główkę do jej kolan, przyciszonym głosem zaczynała odmawiać różaniec. Królowa wyciągała zza pasa bursztynową koronkę i modliły się razem.

— Ani wiesz, Krysuniu, co cię czeka — rzekła jej miłość pewnego ranka do swej ulubienicy.

— Zgadywać? — spytała dziewczynka, przechylając figlarnie główkę na ramię.

— Nie próbuj nawet, bo nie zdołasz, ot, powiem ci od razu: jutro rano wyjeżdżamy do Krakowa.

— Jezus! Toć miłościwa pani cztery lata już nie ruszała się z Warszawy?

— A tak; od pierwszej wojny moskiewskiej. Męża i króla nie było w Krakowie, a na starość człek do miejsca przywyka, dobrze mi w Warszawie, to i siedzę, gdzie mi dobrze.

— Król jego miłość już wrócił?

— Właśnie od króla pismo dziś otrzymałam: zaprasza mię da Krakowa na wesele synowicy swej Gryzeldy.

— Powie mi wasza królewska miłość, kogo ta panna poślubia?

— Zaszczyt z obu stron: panna młoda — Batorówna, a narzeczony — kanclerz i hetman wielki koronny, Jan Zamoyski.

— O święta Matko... i mnie miłościwa pani chcecie wziąć z sobą? . .

— Wszystkie zabieram, a ciebie bym miała ostawić? Tuszę pewnie, że bezpieczne możesz jechać.

— Sądzicie, miłościwa pani, że już nikt nie czyha na mnie?

— Wszakże już siódmy rok biegnie, jak dziad z piekła rodem, którego się tak srodze lękałaś, złapany w nocy w sieni mego tu dworca i osadzony *in fundo** zmarł nagle na trzeci dzień, jednego słowa nie wyznał. Od tego czasu mamy spokój.

— Pamięta wasza królewska miłość, jak się pan krajczy onej śmierci dziwował!

— A tak: zapewniał, że jakaś zbrodnicza ręka zaprawiła mu pożywienie trującym jadem, bo zmarł w boleściach niebawem po obiedzie.

— Mała byłam wtedy, ale mi się wierzyć nie chciało takowym posadkom. Po cóż go miano uśmiercać?

— Mała niemądra urosła i nie zmądrzała. Toć łącno odgadnąć, że on dziad był ino sługą kogoś możnego, komu ty z niewiadomej przyczyny w drodze stoisz. Ów tajemny zbrodzień dawał zapewne pozór na to, co się dzieje, a gdy spostrzegł, że i ten raz się nie powiodło, struł swego sługę, aby go przed sądem nie zdradził.

* *In fundo* (łac.) — w więzieniu.

— Wszak do więźnia nikogo nie dopuszczano?

— Pieniądz mury przenika i żelazne klody otwiera. Przeplacił którego z pacholków i ten zaniósł dziadowi zatrute jadlo. Ot, dziękowałaś tylekroć Matce Najświętszej za ocalenie, poproś i nadal o wszechmocną opiekę i bądź dobrej myśli. Mniemam, że ów zły człowiek lęka się, by go nie schwytano, i dlatego przycichł. A kto wie, może i umarł do tej pory... tyle lat! Wracając do naszej podróży, przepatrzcie skrzynie i szafy w gotowalni, wybierzcie co najpiękniejsze stroje, szaty, pasy, manele*, łańcuchy i spakujcie do kufrów ostrożnie, co by się rzeczy nie pogniotły. O sobie nie zabacz, Boże, uchowaj; trzeba się bogato zaopatrzyć, gdyż wszędy będziesz mi towarzyszyła.

„Ach, Boże, Boże... co mnie Kraków obchodzi, nijakie zabawy mi nie, w głowie... — pomyślała Krysia wzdychając. — Kto wie, gdzie się biedny Jędrus podziewa!”

Dnia 4 czerwca 1583 zjechała królowa na Wawel.

Przywiązanie wzajemne nie złościło pożycia małżonków, czemu trudno się dziwić, gdyż Stefan Batory niechętnie poślubił niemłodą i nieładną królową. Anna zaś w poczuciu szlachetnej dumy usunęła się odeń od razu i stale mieszkała w Warszawie. Pozory jednak były troskliwie zachowywane; od czasu do czasu król odwiedzał żonę w jej rezydencji, ona zaś, nawzajem, jeździła niekiedy do Krakowa. W takich dniach bywali razem w kościele, zasiadali na majestacie przy biesiadnym stole, a zawsze okazywali sobie wielką uprzejmość.

Na wesele bratanki królewskiej zjechało mnóstwo osób, zdało się, że Kraków podwoił na te dni liczbę swych mieszkańców.

Gdy zawiadomiono pana hetmana, o zbliżaniu się narzeczonej do granic Polski, rozstawił na jej drodze pacholków konnych, by mu dali znać natychmiast, skoro będzie dojeżdżała do Niepołomic, gdzie na zamku miało nastąpić powitanie. Naprzeciw Batorówny wyjechały panie polskie: Radziwiłłowa, Oleśnicka, Myszkowska, Bonarowa i wiele innych. Panna młoda zaś miała przy sobie żony magnatów węgierskich i poczet znamienitej szlachty.

Po wzajemnym poznaniu się i nieodzownych, przesadnie pochlebnych oracjach, towarzystwo rozeszło się po salach zamku; niektóre panie węgierskie i polskie zostały z Gryzeldą w bawialnej komnacie.

Wtem nadbiegł paź, oznajmiając przybycie Jana Zamoyskiego. Narzeczona powstała z krzesła i szła do połowy izby; zaś we drzwiach ukazał się wspaniałej urody, acz nie pierwszej młodości narzeczonego. Pokłonił się nisko, ale nie uniżenie, i w łacińskiej mowie radość z tak szczęsnej godziny w swym życiu wyraził. Gryzelda nie pozostała mu dłużną i bez zająknięcia odpowiedziała po łacinie, sypiąc hojnie miłymi słówkami.

— Jeżeli wasza miłość nie czujesz się zbyt utrudzoną — rzekł hetman — mam zlecenie od najjaśniejszej pani, by was niebawem przywieźć do Krakowa; królowa pragnie was poznać i przy ślubnym obrzędzie jako matka pobłogosławić.

— Każdej chwili towarzyszyć waszej miłości jestem gotowa — odpowiedziała z dwornym ukłonem Gryzelda. — Ja również rada bym co rychlej ucałować ręce miłościwej królowej za tak wiele łaskawości, gdy mnie nawet jeszcze nie zna.

— Skoro zatem nic nie stoi na przeszkodzie, to każę powozom zajeżdzać.

Ruszono tedy w drogę ku Krakowu, panowie konno, panie w kolasach. Gryzelda zamieszkała w jednej z komnat królowej, które dziś liczne a bogatymi sprzętami przybrane inaczej wyglądały niż dawne izdebki królowej.

Nazajutrz rano, po mszy św., odprawionej w kaplicy Św. Stanisława, państwo młodzi udali się do apartamentów jej królewskiej miłości, gdyż tego sobie życzyła. Tam w sali, ozdobionej kwiatami i zielonością, urządzony był ołtarz, lśniący od srebra i złota i zasłany kunsztownie

* M a n e l e — bransolety, naramienniki.

haftowanym obrusem. Świeczniki wieloramienne jarzyły się dokoła ścian, a na ołtarzu płonęło, dwadzieścia cztery świece, z białego wosku.

Na wysokich, złotą makatą zarzuconych krzesłach, przy ścianie przeciwległej ołtarzowi, siedzieli oboje królestwo. Drużbowie i drużny podprowadzili ku nim narzeczonych i ci, trzymając się za ręce, klękli u stóp monarszej pary.

Król Stefan polską mową niezbyt biegle władał, przemówił więc po łacinie z Wielką serdecznością, kilkakrotnie zowiąc pana młodego swym najwierniejszym przyjacielem. W końcu dodał, zwracając się do synowicy, że powinna gorąco Bogu dziękować za szczęście, iż mąż tak wielkich cnót i niezmiernych zasług wybrał ją za dozoną towarzyszkę.

Anna błogosławiła państwa młodych ze łzami w oczach; serce jej ścisnęło się żałośnie. Gdybyż to był jej syn rodzony... albo córka rodzona... Dlaczego całe życie musiała być samotną!

Biskup kamieniecki, Marcin Białobrzegi, dopełnił ślubnego obrządku i prosto od ołtarza nowożeńcy, miłościwi państwo i tłum gości weselnych przeszli do wielkiej komnaty stołowej, gdzie już oczekiwała ich uczta. Stefan Batory zasiadł z małżonką w pośrodku niezmiernie długiego stołu. Potem od strony króla panowie po starszeństwie i godności, po stronie królowej panie. Naprzeciw zaś najjaśniejszych państwa hetman i Batorówna, raczej Jan i Gryzeldą Zamoyscy.

Co tylko Polska miała mężów znakomitych i niewiast cnotą, urodą, nazwiskiem sławnych, wszystko się znalazło przy owym weselnym stole. Z Węgier przybyli wysokich rodów przedstawiciele: Ifin, Banffy, Csaki, Patoczy, Bebek, Bocskay, Pernoczy z żonami lub córkami.

Po uczcie, nie nazbyt długiej, król odszedł do swych komnat, królowa została i zaraz szepnęła podkomorzym, by kazali muzyce grać do tańca. Uprzątnięto stoły i olbrzymia sala balowa zawrzała uciechą.

Jej miłość kazała przywołać do siebie Krysie i inne panny, które w towarzystwie młodych dworzan jadły obiad w przyległej izbie.

— Zasiądźcie na ławach wedle ścian, wasza kolej teraz, poskaczcie sobie — rzekła do swych dworek łaskawie. — Ty, Krysio, stań za moim krzesłem.

Rozpoczęły się ochocze tany. Senatorscy synowie zwracali się do wojewodzianek i córek węgierskich panów, dworzanie królewscy i hetmańscy tańczyli z panienkami królowej. Największe powodzenie miała Krysia, bo drugiej takiej ślicznej, smukłej i zręcznej dziewczyny darmo było szukać i wśród swoich, i wśród gości. Ona jednak zimnym sercem przyjmowała — hołdy, obojętnie słuchała komplementów, czarne oczy przesunęły się po komnacie tam i na powrót, jakby czegoś lub kogoś upatrując.

Z dawnego szczupłego grona panien ubyłła Kasia Leszczyńska i Jagna Kłodzińska; obie wyszły za mąż: pierwsza za Wacława Ostroroga, lecz owdowiawszy po roku, zaślubiła ochmistrza, miłościwej królowej, Jana Koneckiego, starostę łomżyńskiego. Nie było jej na weselu Gryzeldy, bowiem synaczek przed miesiącem urodzony nie puszczał matusi od siebie. Jagna zaś, pani Zaborowska, cześnikowa zakroczymska, uzyskawszy pozwolenie małżonka, płaśała z zawziętością wielką; a że jej czepiec przy tańcu wadził*, zdjęła go ukradkiem i hulała jakby na własnym weselu. Ewunia Reyówna, co tak z Kachny matuzalowych lat żartowała, sama dobiegła tejże mety, bo właśnie we wielkanocne święta cyfrę dwóch dwojek przekroczyła. Basia Szczepiecka, mimo że raczej niedźwiadkowi niż pannie była podobna, przecież znalazła wielbiciela i tańczyła prawie ciągle — tylko ze swym narzeczonym, imci panem Jakubem Oleskim, podsędkiem sochaczewskim. Tenże, bardzo szczupłej urody młodzian, a wzrostem pannie ledwie ramienia sięgający, dumny był, że taka sążnista dziewa jego mizeraczka na dozonego towarzysza sobie upodobała.

* Czepiec przy tańcu wadził — czepiec był oznaką stanu małżeńskiego, kobietom zamężnym nie przystało pokazywać się z odkrytą głową.

Król Stefan darował młodej pani trzy sznury pereł uriańskich, królowa Anna modlitewnik łaciński w szczerolotej oprawie, od męża dostała Gryzelda kilkanaście sztuk drogich materii na suknie i skrzynkę pełną klejnotów. Prócz tego wszyscy goście, tak Polacy, jak Węgrzy, — znosili jej cenne podarunki.

W kilka dni po weselu odbyło się wspaniałe przyjęcie na zamku w Rabsztynie, własności pana hetmana. Po uczcie dwie rotę żołnierzy pieszych kruszyło ze sobą kopie, wieczorem palono ognie sztuczne. Zamoyski ofiarował królowi najpiękniejszego konia ze swego stada, królowej kubek złoty, a wszystkim gościom pamiątkowe monety złote z wizerunkiem twarzy królewskiej.

Późno w nocy wrócono do Krakowa.

Jaś Chojnacki, odbywszy chrzest wojenny pod Wielkimi Łukami; powrócił do domu pomagać staremu ojcu w gospodarstwie, inni paziowie pełnili teraz służbę przy królowej. I właśnie jeden z nich, dyżurny, wniósł na tacy śniadanie miłościwej pani, ulubiony jej krupniczek z drobnej, jęczmiennej kaszki. Nakrył stół białym haftowanym ręcznikiem, ustawił na nim wazę, talerz i łyżkę i nie odchodził ku drzwiom, lecz stał jak żołnierz przed hetmanem, patrząc bystro w oczy królowej.

— Masz co do powiedzenia? — spytała.

— Jego wielmożność pan miecznik Wolski uprasza o posłuchanie w pilnej sprawie.

— Mówiłeś mi, że jeszcze nie śniadała?

— Tak jest; powiedział, że zaczeka, pókaż rozkażecie. Siedzi w antykamerze.

— Wpuść pana miecznika do bawialni i proś, by raczył spocząć. Za ćwierć godziny będę mu rada.

— Dawno nie widziałam waszej miłości, panie mieczniku — rzekła Anna wchodząc po niedługiej chwilce do bawialnej komnaty. — Witam was uprzejmie. Jakąż to sprawę macie do mnie? Jeżeli ino w mojej mocy przysłużyć się wam, skwapliwie to uczynię. Lecz... nie sami jesteście... paż nie powiadomił mnie, że macie towarzysza ze sobą.

— Ten ci to człek niepoczciwy jest przyczyną, dla której ośmieliłem się nachodzić waszą królewską mość o tak wczesnej porze. *

— Zaciekawiacie mnie srodze, panie mieczniku...

— ”Mam zaszczyt przedstawić najmiłościwszej pani syna dobrego przyjaciela: Stanisław Żółkiewski, wojewodzie bełzki.

— Zbliźcie się, panie wojewodzicu; znam od wielu lat zacnego ojca waszego. Że zasię niedaleko pada jabłko od jabłoni, tuszę, że chlubę ino a pociechę przyniesiecie rodzicowi i miłej matce Rzeczypospolitej.

Podawała mu rękę, ucałował ją ze czcią i skłoniwszy się nisko, stanął skromnie na uboczu.

— Cóż tedy usłyszę, mości mieczniku? — spytała siadając za stołem i wskazując gościom ławę po drugiej stronie.

— W krótkich słowach rzecz przedstawię — rzekł Wolski. — Pojutrze na cześć nowożeńców i ku chlubnemu przypomnieniu tylokrotnych zwycięstw miłościwego pana nad Moskwą odbędą się piękne przedstawienia i zabawne igrzyska na Rynku krakowskim. Młodszy z rycerstwa, pochopni do uciesznych pomysłów, ułożyliśmy, by własnym sumptem, własnymi dworzany, a nawet z osobistym udziałem poczynić orszaki wojenne, alegoryczne wizerunki, takż pogańskie bożyszczka nadobnie wyobrażone przez żywe osoby i one ciekawe bawidła przeprowadzić dokoła Rynku, zatrzymując się dłużej przed domem Spiglera, gdzie najjaśniejszy pan przyrzekł zasiąść na ganku wraz z waszą królewską miłością gwoli przypatrywania się igrzyskom.

— Tak jest, ale nie dorożumiewam się, w czym ja?

— Otóż wchodzę właśnie *in medias res*...^{*} O pana wojewodzica tu chodzi, którego nieświadomego mych celów chytrze przed obliczność waszej królewskiej miłości przywiodłem. Błagam pomocy najjaśniejszej pani. Ten oto młody rycerz wzdraga się uparcie przedstawić swą osobą Dianę^{*}, boginię rzymską, której rolę my starsi przeznaczaliśmy dlań jednogłośnie. Poczynione są właśnie wozy o wyłaczanych kołach i kwiatami przystrojonych siedziskach, na tych to rydwanach stać będą, niczym rzeźbione posągi, przeróżni starożytni bogowie, boginie i nimfy. Nie w mocy naszej przedstawić całe mnóstwo tych mieszkańców pogańskiego nieba, ino co ważniejszych wybraliśmy. Cóż teraz począć z kozłem zaciętym, co się uwziął zepsować nam taki grzeczny pomysł.

— Toć bez Diany można się obyć... — rzucił niechętnie Żółkiewski.

— A nie można! Właśnie Diana konieczna. Król jego miłość ino wojnę a łowy miłuje; Pomona^{*} ani Florę^{*} go nie uruczymy.

— Takżeście nieużyty, panie wojewodzicu? — spytała z uśmiechem królowa.

— W niewieścich szatach, jak na pośmiewisko... nie żądajcie tego ode mnie, najmiłościwsza pani! — szepnął Żółkiewski hamując niezadowolenie.

— O taką drobnostkę wam chodzi? Wszakże ta bogini przedstawiana bywa z łukiem i kołczanem, a sforę psów na smyczy dzierży. Taka niewiasta to pół rycerza! Dajcie się uprosić! Małżonek mój dowie się... ręczę wam, jakoście męskiej dumie gwałt zadali dla zgotowania mu chwili uciechy.

— Wszystko uczynię... wszystko, co rozkażecie, miłościwa królowo! — zawołał Żółkiewski gorąco. — Wstyd mi ino, że śmiałem się wam przeciwieć.

Anna Jagiellonka uśmiechnęła się dobrotliwie.

— Przeciwienia całe nie dosłyszałam; ale uprzejmość waszą i dobrą wolę ku spełnieniu mej prośby wysoce sobie ważę. Przyjmijcie, panie wojewodzicu, szczerym sercem tę drobnostkę, jak ze szczerego serca ją darowuję.

Skinęła nań ręką, powstał z ławy, zbliżył się i przykląkł na jedno kolano.

— Siła macie klejnotów i pierścieni, zapewne droższych i piękniejszych — rzekła — ja wam ino dla pamięci dnia dzisiejszego ten pierścionek na palec wkładam, com go, przed laty od siostry Izabeli dostała.

— Łaska miłościwej pani stokrotnej ceny dodaje temu podarunkowi, nie rozstanę się z nim nigdy! — zawołał Żółkiewski, całując rękę królowej, a ona dodała wesoło:

— Pomnijcie, urodna bogini, że was będę pilno upatrowała w onym pochodzie, a łaskawego skinienia głowy czekać.

Żółkiewski powstał i usiadł znów obok Wolskiego.

— Ach, najjaśniejsza pani... — odezwał się miecznik, trąc czoło z miną zakłopotaną. — Jeszcze nie na tym koniec. Lękam się, że drugiej prośby tak łącno nie wysłuchacie.

— Spróbować nie zawadzi — odparła Anna żartobliwie.

— Małżonka moja... nie dziwujcie się, wasza królewska miłość... młodemu zawždy pstro w głowie, umyśliła sobie jechać na wozie przybranym snopami zboża jako Ceres, bogini urodzajów. A że uwidziała na uczcie weselnej panienkę z waszego fraucymeru przecudnej urody, uparła się, że Prozerpinę^{*} musi posadzić przy sobie i nikogo inszego, ino tej dziewczuszki jej się zachciewa.

^{*} *In medias res* (łac.) — w sedno sprawy.

^{*} *Diana* — w mitologii rzymskiej bogini łowów i zwierzyny, lasów i gór, przedstawiana zwykle jako młoda, silna dziewczyna w krótkiej spódniczce, z łukiem i kołczanem w ręku.

^{*} *Pomona* — w mitologii rzymskiej nimfa opiekująca się sadami.

^{*} *Flora* — w mitologii rzymskiej bogini kwiatów i radości wiosennej.

^{*} *Prozerpina* — w mitologii rzymskiej córka Cerery, którą porwał i pojął za żonę Pluto, władca podziemi. Rozpacz Cerery po stracie córki zwarzyła życie w naturze i wreszcie wzruszyła władcę bogów Jowisza; za jego sprawą wracała Prozerpina na kalka miesiący do matki, powodując nastanie wiosny, z odejściem jej do podziemi świat znów zapadał w sen zimowy.

— Bez wahania przyrzekam — odpowiedziała Anna. — Miło mi okazać waszmość państwu przychylność moją we wszelakiej mierze. Owszem, niech się Krysia zabawi pod tak znakomitą opieką. Czy aby nie będzie wadziło pani miecznikowej, że to biedactwo sierota, nie znanych rodziców...

— Oblicze panny i postawa starczą za pergaminy herbowe — rzekł Wolski z przekonaniem. — A jeśli wasza królewska miłość raczy ją cierpieć przy sobie, przezch byśmy się my pychą unosili?

— Ino że stroju potrzebnego nie mam, a do jutra...

— Wszystko gotowe, najjaśniejsza pani! — zawołał miecznik uradowany. — Jest piękna szata ze szkarłatnego aksamitu, złotem bramowana, jako przynależy monarchini piekielnych podziemi. Na wypadek pomyślnej odpowiedzi przysposobiła ją, moja Marychna.

Pochylił się ku miłościwej pani i szepnął:

— Samuel znowu grasuje po Rzeczypospolitej...

— Na miły Bóg... prawdę powiadacie?

— Widziano go we Lwowie, przed tygodniem był w Kielcach, pewnikiem i Krakowa się nie złąknie. Drwi sobie z sądów i wyroków.

— Za wiele dufa w łaskawość królewską — westchnęła Anna. — Zuchwałość ściąga słuszny gniew... to się może źle skończyć.

— Służby wierne składam u stóp waszej królewskiej miłości.

— Powodzenia w zabawie życzę waszmościom. Do zobaczenia jutro.

Pan Jakub Spigler, rajca miejski i właściciel kamienicy Pod Sobolem, chodził od rana jak błędny z radości. Toż to jemu—przypadło w udziale gościć najmiłościwszych państwa kilka godzin w swym domu. Przystroił na to święto wykusz z ganeczkiem na pierwszym piętrze, że naprawdę było się czemu dziwować; ściana z czerwonych róż pokrywała mur szczelnie, a na tym tle ognistym świetnie odbijał utkany z białych stokroci orzeł polski ze złotymi literami S—A na piersiach. Baldachim ze złotogłowiu unosił się nad ganeczkiem, a krzesła królewskie, przyrzucone aksamitnymi poduszkami, z kutego były srebra.

Najjaśniejsi państwo przybyli o samej trzeciej godzinie i wśród długo nie milknących okrzyków ludu zajęli przygotowane miejsca. Stefan Batory był wesóły i mowny jak rzadko; zaprosił ku sobie pana hetmana, który w sąsiednim oknie siedział z małżonką, i ciągle mu rzucał jakieś żartobliwe uwagi, z czego tak Zamoyski, jak i królowa Anna śmieli się serdecznie. Gryzelda wychylała się ku nim z okna i z nadąsaną minką żaliła się królowej, że miłościwy pan zabiera jej męża.

Na Rynku morze głów ludzkich falowało i szumiało gwarem. Na gankach Sukiennic, na dachach domów roiło się od widzów; nawet na gzymsach szkarp i ponad drzwiami kościoła Mariackiego uwiesiło się kilkunastu wyrostków. Zdawało się, że nie będzie miejsca na zapowiedziane widowisko. A jednak, gdy pierwsze zastępy ruszyły od strony ulicy Wiślanej, a mijając Sławkowską i Św. Jana kierowały się ku domowi Spiglera, tłumy rozstały się na dwie strony i nawet bez nawoływania ceklarzy uczyniono szeroki plac przed lożą królewską.

Torując sobie drogę krzykiem i krótkim biczem, przybieżał przed króla Murzyn jaskrawo odziany, na karym koniu, i oznajmił przybycie swego pana. Niebawem ukazał się pan miecznik Mikołaj, Wolski również w murzyńskim, ale bogatym przybraniu, na czele pocztu usmolonych dworzan, pokłonił się najjaśniejszemu państwu i wskazał ręką poza siebie. Tuż za murzyńską rotą toczył się wóz pozłocisty, na nim panna biała ze srebrem ubrana, wsparta na tarczy z herbem Zamoyskich. Obok niej młodzieniec ze sztandarem, na którym herb i cyfra Stefana Batorego.

Najmiłościwsi królestwo wychylili się z ganku, klaszcząc w ręce i głośno dziękując za piękną niespodziankę. Gryzelda śmiała się do Murzynów, a pan hetman powiewał czapką.

Wtem bystre oko jego dojrzało coś równie jak murzyński zastęp niespodziewanego, na który to widok ciemny rumieniec twarz mu oblał i głęboka bruzda przecięła czoło: nie dalej

jak o dziesięć kroków harcował na siwym dzianecie... banita, Samuel Zborowski, wcale się nie ukrywając ani odwracając twarzy. Owszem, wzrok zuchwały utopił w obliczu Zamoyskiego. Pan hetman przygryzał wąsa... w obecności króla wszczynać pościg za zbrodniarzem, niweczyć całą zabawę było niepodobieństwem. Czuł się bezsilnym i bezbronnym, a drwiący uśmiech Samuela przytakiwał jego myśli.

Murzyni zawrócili ku Pannie Marii i posuwali się z wolna Rynkiem w ulicę Grodzką; a tymczasem nadchodziła druga grupa.

Mikołaj Zebrzydowski jechał na starożytnym wozie jako Saturn*. Dwanaście pacholąt ubranych czarno i dwanaście biało, czyli godziny dnia i nocy, ciągnęło rydwan. Każde miało na głowie tarczę zegarową. Obok Saturna siedziała postać trzymająca oburącz kulę złotą, co miało oznaczać złoty wiek za panowania Batorego.

Potem jechał Jowisz* z Minerwą* na wozie otoczonym obłokami z jakiejś lekkiej, bawełnianej tkaniny. Z rąk bogów padały iskry piorunowe, bardzo kunsztownie przyrządzone... Wtem bogini mądrości, zapominając o swej niebiańskiej godności, wrzasnęła przeraźliwie, uniosła greckiej szaty wyżej, niż boginiom uchodzi, i jednym susem była na bruku, wśród tłumu nędznych śmiertelników. Jowisz spuścił na nią wzgardliwe spojrzenie, ale i jego boskie oblicze zzieleniało nagle przestraszonym... bawełniane obłoki buchały płomieniami. Tedy i Najpotężniejszy zeskoczył z rydwanu. Na szczęście o dwa kroki stamtąd stała pod rynną Sukiennic kadejka z wodą; w jednej chwili ugaszono ogień, a bogowie już bez obłoków i bez piorunów pojechali dalej.

— Gdzie Chwalibóg? — spytał Samuel Zborowski jednego ze swych dworzan, rozglądając się w tłumie.

— Był przed chwilą — odparł tenże. — Coś chyba ciekawego dojrzał, bo widziałem, jak parł koniem ku ratuszowi.

Tymczasem uwagę wszystkich, a nawet i Zamoyskiego, zajął widok przewspaniały: oto rozpoczynał się pochód tryumfalny, przedstawiający zwycięstwo króla nad Moskwą. Była to wieża, którą toczono na kołach przed miłościwego pana, a na niej złotymi, olbrzymimi literami wypisane zaniki i miasta zdobyte przez Batorego. Powyżej wiersz łaciński, głoszący chwałę zwycięzcy. Za wieżą szedł oddział konny i wojsko piesze, dalej wozy ze zdobytą bronią i przywiązani do wozów słudzy i czeladź pańska, przebrani z moskiewska, jako jeńcy wojenni spod Połocka, Wielkich Łuków i Pskowa.

Samuel Zborowski wmieszał się między rycerstwo i przedefilował bezczelnie z kilku dworzanami przed królem. Szczęściem dla niego, Batory nie przypuszczając nawet podobnego zuchwalstwa, mniej przypatrywał się wojsku niż pięknie umajonym wozom z trofeami; szlachta zaś, choć go prawie każdy poznał, nie śmiała go zaczepiać, by nie wywołać burdy albo i czegoś jeszcze gorszego.

— A taż białogłowa na trzecim wozie co ma oznaczać? — spytał król Zamoyskiego. — Pancierzem okryta, u jej stóp skrępowany Moskwicin.

— To ziemia inflancka oswobodzona orężem waszej królewskiej miłości.

— A ci, co teraz nadjeżdżają? Orzeł biały na przedzie, cztery konie białe.

— Na wozie stoją książęta Słuccy, przebrani za hetmanów — tłumaczył Zamoyski. — Z tyłu trzy kopie związane łańcuchem, do łańcucha przykuci słudzy książęcy, niby to bojarowie i starszyzna moskiewska.

— Powiedz im wszystkim, wasza miłość, koniecznie, ino nikogo nie pomiń... że mię okrutnie ucieszyli tymi widowiskami; ani mi w myśli powstało, że tyle wspaniałości oglądać będę.

* Saturn — w mitologii rzymskiej bóg rolnictwa.

* Jowisz — wg mitologii rzymskiej ojciec bogów i ludzi, władca nieba, światła, piorunów.

* Minerwa — w mitologii rzymskiej bogini mądrości, opiekunka rzemiosł i sztuki wojennej, ukochana córka Jowisza.

— Pojrzyjcie, miłościwy mężu — wmieszała się królowa Anna do rozmowy — wojenne obrazy skończone zda się, a zbliża się na dwukołowym rydwanie Kupido* z łukiem w rękę i kołczanem na ramieniu.

Król powstał z krzesła, oparł się rękoma o kamienną balustradę i patrzył rozbawiony w Rynek.

— A tuż za synem Wenus* podąża, patrzcie, wasze miłości, jaki specjalny ma wozik, na podobieństwo muszli morskiej. Ino... jak na niewiastę... bary za silne i kark jak u tura... cha, cha, cha! toż to Piotr Myszkowski! Daj go katu z taką Wenerą! A tenże skrępowany u jej stóp?

— To starszy brat, Jan Myszkowski, przedstawuje Parysa* zwyciężonego przez piękność.

— Ho, ho, i muzykę mają, i wonność rozpryskują dokoła, i dwór okazały... cóż za deputacja ku nam podąża?

Trzech jeźdźców strojnych zatrzymało się przed gankiem, jeden z nich podał hetmanowi wbite na ostrze włóczni złożone jabłko z napisem łacińskim „dla najpiękniejszej”.

Zamoyski podziękował i złożył ten dar pochlebny w ręce swej żony.

— Teraz, teraz, miłościwy panie i mężu — zawołała królowa Anna z wielkim ożywieniem — raczcie zwrócić uwagę, zbliża się właśnie owa urodziwa Diana, o której wam już wczoraj wspominałam. Nikt by nie odgadł, że to rycerz, a nie panna!

— Zaprawdę, cale nadobnie wygląda — zdumiewał się król. — Maskę ma arcypięknie udaną.

Rydwan bogini Diany, ciągniony przez sześć chartów, toczył się z wolna i zatrzymał się przed gankiem domu Spiglera. Smukła postać w zielonej greckiej szacie i wieńcu na płowych włosach zwróciła twarz zamaskowaną ku najmiłościwszej pani, przycisnęła rękę do piersi i pochyliła głowę.

Ukłon ten przyjęto hucznymi oklaskami; król jegomość wychylił się z ganku i bił w dłonie, jak tylko mógł najgłośniej.

Diana przystanęła trochę na uboczu, a zaraz ukazał się wóz drabiniasty, ciągniony przez cztery węgierskie woły o zakrzywionych jak olbrzymie widły rogach. Drabki oplecione były gęsto pękami polnych kwiatów, a na snopach żyta i pszenicy siedziała boska opiekunka żniw, hoża Ceres ze swą córką, Prozerpiną.

Pani miecznikowa, rośla, przystojna blondynka, dobrała strój licujący z odgrywaną przez nią rolę. Zwinęła wysoko na głowie swe bujne, jasne włosy, a maleńki złoty sierp o rękojeści z drogich kamieni tworzył na nich rodzaj diademu. Szata z brokatu koloru słomy skrzyła się od brylantowych kropel rosy. Bogini Ceres była prześliczna.

Obok niej Prozerpina, szczupła, śniada, z puszczonej wolno kosami, wieńcem ognistych maków nad czołem, w szacie pąsowej ze złotem. Przy dorodnej żniw przodownicy wyglądała jak prawdziwe nadziemskie zjawisko. Uśmiechnięte usteczka szły z makami w zawody, z precudnych oczu płynął czar.

W orszaku rycerzy, co po skończonym pochodzie zwycięskim zostali na Rynku jako widzowie, znajdował się pan Samuel Zborowski z kilkunastu dworzanami. Był tam i Andrzej Chwalibóg. Od chwili pojawienia się wozu Cerery zapomniał, gdzie jest, z kim jest, zapomniał, że to Kraków, że to zabawa na cześć króla i państwa młodych, nie widział nic prócz Krysi... zmysły mu się mieszały. Kierował nieznacznie koniem, wymijał pieszych i jezdnych, byle iść tuż za nią, byle jej z oczu nie stracić.

* K u p i d o — w mitologii rzymskiej bożek miłości.

* W e n u s albo W e n e r a — w mitologii rzymskiej. bogini wdzięku i piękności.

* P a r y s — jeden z bohaterów „Iliady” Homera, syn króla Troi. Wg legendy uczestniczył w sporze trzech bogiń: Pallas Ateny (Minerwy), Afrodyty (Wenery) i Hery (Junony), której z nich należy się złote jabłko z napisem „dla najpiękniejszej”; Parys przyznał je Wenerze.

Woły stapały poważnie, powoli; najjaśniejsi państwo raczyli przemówić kilka słów łaskawych do pani miecznikowej, a ona z wysokości swego słomianego tronu podała królowej na posrebrzanych grabiach pięknie uwity wieniec z kwiatów i kłosów.

— Gdzież nam zawrócić i którędy jechać? — spytał siostrzeniec pani miecznikowej, który był za woźnicę.

— Rade byśmy już odpocząć — odpowiedziała. — Do domu, Stachu. Ino Małym Rynkiem i popod Gródek, bo tędy bliżej.

Jeszcze nie dojechali do rogu, gdy nagle z tłumu wypadł mąż jakiś zamaskowany i nie zatrzymując nawet wierzchowca, pochwycił Krysię na ręce, posadził przed sobą i pognął we Floriańską ulicę, gdzie ludzie z rzadka stali pod domami.

Głośnym śmiechem i oklaskami przyjęto ten wyborny pomysł. Każdy z widzów dorozumiał się od razu, że był to tylko niewinny figiel, bo przecież tu, na oczach królewskich, nic zdrożnego dziać się nie mogło. Niektórzy obeznani z mitologią wołali Śmiejąc się:

— Zuch Pluto! Porwał Prozerpinę!

— Dzielnie mu się udało!

— Nie wiecie, który to?

— Jeden ze Słuckich może?

— Raczej Osiecki, bo ten chybki jak piorun.

— A to ci diabeł dopiero!

— Ee... musi to być któryś z wojewodzciców i z wiedzą królowej to uczynił; panna dworska... gdzieżby się ważył bez pozwolenia!

Pani miecznikowa siedziała przez chwilę jak skamieniała.

— Co to takiego?... Co się stało? Gdzie ten człowiek? — wyjąkała wreszcie do siostrzeńca.

— Ależ, ciotuniu, nie troskajcie się; nie ma wątplenia, że to było umówione, patrzcie, jak się ludzie śmieją. Umówiona krotochwila, nader zrzeczna.

Zamaskowany rycerz przebiegł ulicę w nieopisanym pędzie, zdawało się, że koń ziemi nie tyka kopytami, zdawało się, że leci. Ta jazda prawdziwie piekielna trwała nie dłużej jak minutę; gniadosz tajemniczego rycerza przemykał już pod sklepieniem bramy, gdy od strony Rynku zadudniło rozgłośnie... Drugi jakiś szaleniec gnał wściekłym galopem śladem pierwszego. Bez czapki, z oczyma rozwartymi szeroko, ze zwichrzonymi włosami, siekł konia harapem, kłuł ostrogami i leciał jak opętany.

— Doścignie! — krzyczano dodając mu otuchy.

— Nie doścignie! — słychać było inne głosy.

— Ówten konia ma zacnego!

— Ale ten za to lekki i sam jeden!

— Oho, przeleciał bramę!

Kilku wydrapało się na mury, kilku pobiegło do Barbakanu, by śledzić z wieżyczek, co się dalej stanie.

— Ależ pędzi!... Dogania go!

— Oho, odsadził się... umyka, też to umyka!

— Jezus, Maria!

Zamaskowany rycerz mknął jak wichur. Lewym ramieniem trzymał silnie porwaną dziewczynę, a krótką nahajką w prawej ręce ćwiczył konia; każde uderzenie znaczyło krwawe pręgi na skórze gniadosza.

— Nie szarp się... spokojnie siedź... bo cię zastrzelę jak psa, dziewczko zatracona! — warknął ochrypłym głosem.

— O, rety... puśćcie mnie! Czymże wam zawiniłam? — szlochała Krysią.

— Czym? Tym, że żyjesz ku mojej krzywdzie!

— Nie znam was.

— Milcz... nie mam czasu na gawędkę!

Usłyszawszy tętent, obejrzał się.

— Tysiąc biesów! — I ścisnął konia ostrogami.

Przeminięli ostatnie domki przedmieścia, wypadli na pole. Uderzenia kopyt końskich za nimi coraz były wyraźniejsze... pościg zbliżał się...

— Truteń jakiś... gołowąs... psi syn... — rzucał przez rycerz.

Wyjął z olster króciwą i krzyknął odwracając

— Wracaj precz, bo ja w twoich oczach śmierć! — A Krysi syknął w ucho: — Miałś jeszcze dwie mile przed sobą, podziękuj ówtemu, że zginiesz pierwej!

I gnał przez żytnie łany, a rumak, jego pluł pianą i znaczył drogę krwią.

— Nie słuchasz? Pilno ci? No to patrz!

Odwrócił kurek...

Huknął strzał...

Zamaskowany rycerz trafiony kulą w plecy zachwiał się na siodle... koń przebiegł jeszcze kilka kroków, lecz nie czując bata, szedł coraz wolniej, wreszcie przystanął.

Mdlejące ręce puściły zdobycz... dziewczyna ześlizgnęła się na ziemię. Rycerz runął jak kłoda...

Jędrus Chwalibóg dobiegał już miedzą. Zeskoczył z konia.

— Krysia! Umiłowanie moje!

— Co... to... kto... Matko Boska, Jędrus!

Więcej mówić nie mogli; podali sobie ręce i patrzyli jedno na drugie jak w obraz cudowny. Chrapliwy jęk wrócił im przytomność.

Podeszli do rannego na palcach, w milczeniu, przejęci grozą.

Jędrus odwiązał maskę i zachnął się.

— Co ci jest?

— To ten sam...

— Kto taki?

— Ten, który się z dziadem zmawiał w karczmie.

— Ach, jaki blady!

— Śmierć ma na twarzy wypisaną — szepnął chłopiec. — Co tu robić? Ani we dwoje go nie udźwigniemy...

— Ratować trzeba. Nie szukaj daleko... ot, dwie chałupy tuż; za żytem, idź, prędko sprowadź ludzi... ach, nie! zabierz mnie ze sobą! Ja tu sama nie ostanę!

Pobiegli.

Godzina minęła, zanim sprowadzeni chłopcy z płachtami, na których złożono nieprzytomnego rycerza, donieśli go do miasta.

— Nie gdzie indziej pójdziemy, ino prosto do króla — rzekł Jędrus. — Niech miłościwy pan sędzi i rozkaże, co czynić.

W Rynku wrzała jeszcze zabawa, gdy ponury pochód zawrócił z Floriańskiej ulicy do domu Spiglera.

Na widok obojga młodych, idących ze smutnie spuszczonej oczyma, a bardziej jeszcze na widok noszów z umarłym czy konającym człowiekiem, przerazili się miłośnicy państwa niezmiernie. Król dał znak ręką, by uciszono muzykę, i rzekł do Zamoyskiego:

— Stało się nieszczęście; jakiś rycerz... czy poznajecie, kto to?

— Nie; zda mi się, że go pierwszy raz widzę.

— Poślijcie po medyka, ja zejdę na dół. Niepodobna weselić się w obliczu śmierci.

— Zezwólcie, miłościwy panie, że i ja pospieszę za wami — rzekła królowa. — Skąd się tu bierze Krysia, blada, zapłakana, z rozplecionymi kosami... sama z Chwalibogiem... nic nie rozumiem.

— Co to za człowiek i co mu się przygodziło? — spytał król, poglądając po ludziach zgromadzonych dokoła noszów.

Zamoyski pochylił się nad umierającym.

— Teraz go poznaję — rzekł. — To Hieronim Płoński, starościc barski; widywałem go kilkakrotnie u kasztelana mińskiego.

Król spytał po raz drugi:

— Czy chory, czy ranny? Co się stało?

— Ja go zabiłem — rzekł Chwalibóg, patrząc królowi spokojnie w oczy.

— Ty? I śmiesz stawać przede mną zuchwale, morderco bezecny?! — zawołał król w najwyższym oburzeniu.

Odetchnął głęboko, przesunął ręką po czole i pohamowawszy gniew, mówił dalej:

— Z jakiej przyczyny zabiłeś tego rycerza?

— Tu w Rynku, nie bacząc na majestat, porwał i uwiózł wychowankę najjaśniejszej pani. Puściłem się za nim w pogoń, a gdy widział, że go dopędzam, dobył króciocy i krzyknął, że pannę w mych oczach zabije. Nie dowierzałem tej groźbie... Lecząc widząc, że kurek odwodzi, strzeliłem jak do dzikiego zwierza. Teraz mi każcie zdjąć głowę, miłościwy panie, jeśliślim popełnił: morderstwo.

Przez tłum przeciskał się paź królewski, za nim szedł lekarz. Pomacał skronie, wziął za puls.

— Nie godzi się go dręczyć — rzekł — już dusza ucieka. Chyba wina starego... może się ocknie na mgnienie oka.

Gospodarz domu przybiegł z winem; doktor ulał odrobinę na łyżką i sączył po kropelce do ust umierającego.

Drgnął... otworzył błędne oczy... poruszył ustami...

— Unieście go nieco, podeprzyjcie mu głowę, może chce czego — rozkazał król dworzanom.

— Dopadłem cię... ubiłem jak psa... boli kula? Piecze jak ogień? Moje ciało czuje, jak cię boli!...

Przerywany śmiertelną czkawką głos konającego drgał wściekłością:

— Już nie będziesz... Już nie ma Krystyny Płońskiej... skończyło się... ojcowie pomarli... dziewczka zmar... ino ja... jedyny dziedzic!... Moja Rychta... moje Przewrocie... Ruda... Brana... Kośmin... jedyny dzie...

Rzucił głową, na wargach pokazała się różowa piana.

— Nie ja go sądził będę — rzekł cicho Stefan Batory.

W tydzień po opisanych wypadkach na pokojach miłościwej królowej odbyły się zrękowiny szlachetnie urodzonego kawalera imci pana Andrzeja Chwaliboga, towarzysza chorągwi usarskiej wojewody podolskiego, z szlachetnie urodzoną imci panną Krystyną Płońską, wychowanką najjaśniejszej pani.